Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



W porannych mgłach.

Fot. W. Puchalski.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 23 (871)

10 SIERPNIA 1937 R.



Odpoczynek w południe. Fot. Adm. M. Borowski.

U PODSTAW INSTYNKTU MYŚLIWSKIEGO

Zagadnienie instynktu myśliwskiego nie doczekało się po dziś dzień poważnego, naukowego ujęcia.

Istota przeżycia myśliwskiego nie została sprecyzowana. Toteż mało myśliwych zdaje sobie jasno sprawę z tego, czem wytłomaczyć szereg charakterystycznych dla polującego reakcyj psychicznych, a nawet fizjologicznych, jak np. pulsowanie krwi w skroniach, drżenie rąk i nóg, zasychanie jamy ustnej i przełyku przy silnem wzruszeniu myśliwskiem. Nagół otrzymałoby się skromną odpowiedź: — „Z emocji". Nie wyjaśniłaby ona zagadnienia. Nauka na te pytania dała również odpowiedzi niewystarczające. Wskazała jedynie, że instynkt myśliwski, wywodzący się z zamierzchłych czasów i wiekiem conajmniej równy człowiekowi, ma swoje źródło w potrzebie zaspokajania głodu fizjologicznego człowieka pierwotnego. Powszechny ten sąd, umieszczający zjawisko głodu i instynkt myśliwski w jednej grupie zjawisk psychicznych, został mocno zachwiany przez twórcę psychologji emocjonalnej i psychologicznej teorji prawa, sławnego uczonego, Leona Petrażyckiego.

Zwolennicy tradycyjnego podziału zjawisk psychologicznych na poznanie, uczucie i wolę nie ustalili zgodnie do jakiej grupy przeżyć zaliczyć należy zjawisko głodu, będące dla nich jedynem źródłem poczynań myśliwskich. Toteż jedni umieszczali je w grupie zjawisk poznawczych, inni — uczuciowych. Ten sam los dzieliło z konieczności i zagadnienie instynktu myśliwskiego. I tutaj nauka usiłowała w sztywne ramy tradycyjnego podziału wtłoczyć przemocą szereg przeżyć człowieka, które bardzo mało miały wspólnego z niewzruszonym trójpodziałem. Stąd powstały konstrukcje sztuczne i błędne. Należało dokonać rewizji w samej zasadzie podziału zjawisk psychicznych, by każde z przeżyć człowieka módz umieścić we właściwem sobie miejscu. Dokonał tego Leon Petrażycki, kładąc pod naukę psychologji zupełnie nowe podstawy (psychologja emocjonalna). Z tą chwilą zjawiska głodu i instynktu myśliwskiego zostały wyzwolone z gwałtu, jakiego dopuszczała się nad nami dotychczas nauka. W ramach nowego podziału zostały one swobodnie umieszczone w pokrewnej sobie grupie zjawisk psychologicznych.

Petrażycki pierwszy też ujął w sposób naukowy i zanalizował zagadnienie instynktu myśliwskiego*).

*

Leon Petrażycki był sam zapalonym myśliwym.

W wymienionem dziele uczonego znajdujemy wspomnienia z okresu jego młodości, gdy, jak sam pisze, „w czasie pomyślnego polowania na bekasy, wskutek uszkodzenia strzelby, każdy strzał ranił silnie i parzył rękę (przez dziurawy zamek w strzelbie stalowej); lecz ręki się nie żałowało, choć po każdym strzale coraz silniej krwawiła, bólu się nie czuło, o niebezpieczeństwie się nie myślało i polowanie ciągnęło się dalej, aż do wyczerpania nabojów".

---

*) Leon Petrażycki, „Wstęp do nauki prawa i moralności. Podstawy psychologii emocjonalnej", Warszawa, 1930.

Petrażycki rozumiał „duszę" myśliwego (str. 248). Jako wybitny psycholog, czytał swobodnie w tej duszy, a spostrzeżenia, które poczynił, wyjaśniły ostatecznie istotę zjawiska, określanego jako instynkt myśliwski.

Zanim przejdziemy do właściwego tematu, musimy choć pobieżnie przedstawić zasadę podziału zjawisk psychologicznych, dokonanego przez Petrażyckiego; dopiero bowiem w tych nowych ramach mieści się swobodnie zjawisko instynktu myśliwskiego, w oparciu też o ten nowy podział dokonać będzie można analizy omawianego zjawiska.



Na kaczkach. Fot. Dr. J. Błeszyński.

Nauka tradycyjna dzieliła zjawiska psychiczne na trzy grupy: uczucie, poznanie i wola.

Istnieją jednakże pewne szczególne przeżycia psychiczne, które nie dają się zakwalifikować do żadnej z wymienionych grup. „Istnieje mnóstwo zjawisk psychicznych — pisze Petrażycki — które są sobie pokrewne jakością, własnościami przyczynowemi i (bardzo doniosłemi) funkcjami biologicznemi, i różnią się w tych kierunkach zasadniczo od zjawisk poznania, uczucia i woli, a wobec tego nie znajdują sobie miejsca w tradycyjnej klasyfikacji trójdzielnej i wymagają, gdy chodzi o należyte ich zbadanie, wytworzenia odrębnej, czwartej klasy podstawowej (str. 205).

Słowem — poznanie, uczucie i wola nie wyczerpują życia psychicznego. Jednakże współczesna nauka psychologji niektóre ze zjawisk, będących w rzeczywistości poza trójpodziałem, „wtłacza przemocą do rubryki poznania, inne do rubryki uczuć, inne jeszcze do rubryki woli, albo też wędrują od rubryki do rubryki, nie znajdując sobie przytułku; jedni psychologowie zaliczają je do poznania, drudzy do uczuć, trzeci do woli, a nieraz ten sam autor zalicza je w różnych miejscach dzieła do rubryk rozmaitych".

Takim perypetjom podlegały zjawiska głodu psychicznego, pragnienia, podrażnień repulsywnych (odpychających, jakie np. zachodzą przy nadużyciu jedzenia) i wreszcie — instynktu myśliwskiego.

Dopiero w nowym podziale elementów życia psychicznego, jakiego dokonał Petrażycki, znalazły one uzasadnione miejsce w grupie przeżyć t. zw. bierno-czynnych, a więc posiadających charakter dwustronny. W miejsce bowiem tradycyjnej klasyfikacji przeżyć wewnętrznych — na poznanie uczucie i wolę — przyjął Petrażycki podział inny. Wg. niego elementy życia psychicznego dzielą się na:

1) dwustronne, bierno-czynne, które nazywa „emocjami" (do tej grupy należy m. in. instynkt myśliwski, co zostanie wyjaśnione niżej) i

2) jednostronne, które rozpadają się na:

a. jednostronnie bierne (przeżycia poznawcze i uczuciowe), oraz

b. jednostronnie czynne (przeżycia woli).

W tak zakreślonych ramach znalazł właściwe sobie miejsce instynkt myśliwski.

*

Dochodzimy do istoty zagadnienia.

Instynkt myśliwski jest przeżyciem bierno-czynnem, doznawczo-popędowem; przedstawia on z jednej strony swoiste doznawanie, a więc przeżycie pasywne, podczas gdy jednocześnie z drugiej — swoisty popęd wewnętrzny, pociąg, dążenie do..., w tym wypadku — do „upolowania". Swoiste doznawanie i swoisty popęd, znane tak dobrze każdemu myśliwemu, stanowią treść i istotę przeżycia myśliwskiego.

Gdy na polowaniu dostrzegamy „grubego zwierza' na odległość strzału, doznajemy przedewszystkiem swoistego przeżycia, określanego jako stan „podniecenia myśliwskiego", a jednocześnie z tem „doznawaniem" (element pasywny) podlegamy natychmiast swoistemu popędowi, dążeniu do wykonania określonych manipulacji myśliwskich, jak np. złożenie się, wycelowanie (element aktywny), które składają się na „krwawe rzemiosło" myśliwego i które mają doprowadzić do „upolowania".

I oto właśnie, wskutek tej dwustronnej natury, instynkt myśliwski nie mógł się zmieścić ani w rubryce przeżyć wyłącznie uczuciowych, ani wyłącznie poznawczych, ani woli — gdyż pierwsze dwie zawierają przeżycia jednostronnie bierne, ostatnia zaś — jednostronnie czynne.

Instynkt myśliwski jest dwustronnem podrażnieniem popędowem, jest „emocją", zawierającą w sobie specyficzne doznawanie, a z drugiej strony zupełnie swoisty popęd, które łącznie składają się na silne przeżycie, tak pożądane przez namiętnych myśliwych.

MGR ADOLF JÓZEF REUTT.

Moja pieśń

Nie poto piszę i nie poto śpiewam,
by tworzyć rymów wiązki ukwiecone,
lecz moją pieśnią chcę wtórować drzewom,
w poszumie puszcz wieczności łowić tony...
Chcę swoją jaźń zatracić w życiu Ziemi
i w każdy stwór przemieniać się zkolei!
Z myślami pragnę rozstać się swojemi
i żyć troskami lub radością kniei.
— Wiosenny ranek pieśnią głuszca witam,
w kaczora wcielam się na rozlewisku,
w całuny zwiewne srebrnej mgły spowitem.
— Na polach z duszy trel skowronka tryska!
A latem, w słodkim pogrążony skwarze,
gdy własnych myśli szary splot rozgmatwam,
rozumiem wszystko, o czem rogacz marzy,
co mówi starka młodym kuropatwom.
Gdy idzie jesień w złocie i purpurze,
mam serce łosia lub jelenia-króla!
A kiedy łzawa słota się nachmurzy,
jak szarak, drżąc, do miedzy się przytulam!
Ponowy księgę razem z wilkiem czytam
i z ostrowidzem - rysiem się zaczajam.
Myszkuję w zaspach, niby lis-mykita
hołdując chętnie wiecznym kniej zwyczajom.
Nie poto piszę i nie poto śpiewam,
by tworzyć rymów wiązki ukwiecone,
lecz moja pieśń jest tylko kniej powiewem
i drgają w niej Wszechżycia wieczne tony.

W. L. von FALKENAU.

TALENT...

Z mgły koszmarów wypływa coś, jakiś kształt silny, jak posąg, lany w ciemnym bronzie. O!... widać go wyraźnie — na tle białej, wapnem bielonej ściany. Wyraźnie widać: ciemna, opalona przy pracy na dworze, cała w sfałdowanych zmarszczkach twarz — twarz matki serdecznej.

Pochyla się, przybliża — jest tuż, tuż... Troska z niej bije, wzrok jest jakiś niespokojny, czegoś się chce dowiedzieć...

— Stasiek, Stasiek, lepiej ci?... — Drżą w tajonej trwodze usta. Tkliwość bez granic płynie z każdego rysu biednej twarzy.

W dusznej atmosferze izby wisi bezwładna cisza, jak grób milcząca. Tylko wśród niej tyka budzik na czerwonej komodzie. Tylko ciężko szeleści oddech chorego dziecka — zupełnie jak wiatr na samotnej mogile...

— Matuś, duszno mi jest... och! duszno...

Znowu rozkłada się po kątach okrutna cisza.

Co odpowiedzieć synowi, co? Wiecznie go cieszyć, że zdrów będzie, że minie ta przeklęta choroba?...

I znowu z serca matczynego płynie ciągła, prorokująca pociecha...

— Staśku, niedługo już, niedługo... Wiosenka przyjdzie z kwiatkami... Pójdziemy razem do Łazienek... Usiądziesz na ławce, nad wodą i będziesz patrzał na ten pomnik, na to drzewo złociste, na tego ogromnego pana... Słoneczko będzie świecić, ptaszki będą śpiewać, dużo dzieci tam przyjdzie i przyjedzie w wózkach... Będą się śmiać, szczebiotać, jak te ptaszynki Boże... A ty będziesz zupełnie zdrów — i ty będziesz się śmiał i biegał z kolegami po dróżkach... Niedługo już, niedługo...

Stasiek słucha spokojnie. Zdaje mu się, że to jakaś dziwna melodja się przelewa, melodja, w której jakby złociste promienie słońca przewijają się z zielonemi liśćmi drzewa, jakby jakieś stado ptaków o czerwonych piersiach, kręcąc się w kółko — śpiewa i śpiewa...

Nagle coś zatkało krtań — ból lekki i silne łaskotanie w piersi, tam głęboko... Jakieś ciepło biegnie z wnętrza, wyżej i wyżej. Zakaszlało chore chłopię. Znany, obrzydły smak w ustach...

Chciał coś szepnąć schylonej nad nim matce, przechylił rozpaloną głowę na brzeg poduszki. Kilku chlustami spływa na podłogę obok łóżka świeża, purpurowa krew...

Stasiek mimowolnie spogląda na twarz podtrzymującej go matki. I nagle czuje, że gdzieś zapada, w głąb jakąś bezdenną, coraz niżej, coraz niżej... Tylko tam, wysoko, w tym otworze dalekim posągowy widać kształt twarzy matczynej...

A... co to? Czy w jej oczach łzy pęcznieją — dlaczego tak lśnią te oczy?

Dlaczego one płaczą — dlaczego?!

Cicho, biało.

Ta sama izba, z okapem nad kuchenną płytą w kącie. Ława z wiadrami. Nad łóżkiem, w górze — obraz Częstochowskiej i dalej — dwie akwarele, obrazki z natury, które Stasiek kiedyś malował. Tylko o wiele jaśniej w izbie, aż oczy razi ta fala światła.

Stasiek rozgląda się dokoła. To z okienka strumienie jasnej powodzi, długie, biało-złote wstążki, naciągnięte, jak struny. Widać słońce świeci na dworze. Kilkanaście drobin pyłu huśta się w promieniach: oto podnoszą się i opadają — wyżej, niżej, wyżej, niżej... Stasiek obserwuje je z radością. Tak mu jest lekko i dobrze leżeć w promieniach i patrzeć na te subtelne ruchy pyłku...

Spogląda niżej. Pod oknem siedzi, oparta łokciami o stół — jego matka. Skąd u niej te siwe włosy nad czołem, skąd tak prędko? Myśli o czemś, nasłuchuje — skupiona, jak Madonna na świętym obrazie.

Znowu Stasiek rzuca okiem na okienko — patrzy. I raptem... skądś, z utajonego uroczyska pamięci wysącza się wspomnienie, jak radosna łza ze szczeliny między powiekami.

...Oto las zielony, wzgórze. Czad macierzanki kłębi się nad łysiskami żółtego piasku. Motyl chybocze się na ubogim wrzosie. Kraska trzepie pióra w słońcu, w dolinie, na gałęzi ciemnej olchy. Zięba podśpiewuje na sęczku, nad polaną. Dziesięcioletni Stasiek biega po zboczach wzgórza, pląsa rozbawiony: to poziomkę grubą, tłustą wrzuci do buzi, to na motyla zasadzi się, jak tatko na głuszca... Śmiech jego tryska bukietami, jak świece złotej dziewanny, to tu, to tam, raz z jednej strony wzgórza, raz z drugiej... Wesoło, szczęśliwie!



Okolice gajówki na skraju puszczy. Fot. Z. Czarkowski.

Tatko wyszedł rano ze strzelbą i z Murkiem do lasu — na obiad wróci. Będą jedli we trójkę, z tatkiem i z matusią — chłodnik z kartoflami, a potem mlekiem zapiją... Tatko przy obiedzie dużo ciekawych rzeczy opowie: jak to zajączka spłoszył w gęstwinie; jak jarząbek, co niby grzmot, huczy skrzydłami, przyczaił się na włochatej od mchów gałęzi i myślał, że go tatko nie widzi; jak kozioł — zły, obudzony z drzemki, tupał i szczekał z gniewem na tatkę, a potem dał niewidocznego susa i przepadł gdzieś — nieujrzany...

Dużo, dużo takich śliczności opowie tatko, gdy wróci. Cieszy się więc Stasiek, że już niedługo południe, że niebawem z zielonej palisady leśnej oderwie się wysoki kształt jego ojca z pieskiem na rzemyku.

Z dalekiej wioski za lasem, za doliną, za rzeką, z równin niebieskich, rozlanych, jak morze, dźwięk przeleciał znajomy...

— Dan-dan, dan-dan... — zakolebały się codzienne, rozwlekłe, zlane w jedną melodję tony muzyki dzwonu. W drewnianej wieży powstały i szły krajem, sączyły się, falami leciały po płaskiej ziemi...

Stasiek uklęknął na wzgórzu, złożył ręce i jął odmawiać pobożnie Anioł Pański...

Z niedalekiej chaty wyszła na próg matka i pyta:

— Stasiek, tatki nie widać?

— Jeszcze nie! — odkrzykuje Stasiek.

Mija południe, mija wieczór i noc nadchodzi, a tatki jak niema, tak niema. Znużony Stasiek zasnął.

Nazajutrz przynieśli ludzie tatkę, z głową we krwi... I położyli obok na ławce szarą, z zielonym lampasem czapkę, trochę, prawie niewidocznie z jednej strony poszarpaną w jakieś bezkształtne dziurki... Stasiek nie pamięta, co dalej było, bo mu się wów-

czas jakoś dziwnie zrobiło pod sercem, coś zamgliło dziecięce oczy, zwiotczały dziarskie nożyny...

A potem — długie, smutne, żałobne dni warszawskiej nędzy. Matka — wdowa, dozorczyni domu na Towarowej, on — jej syn i pomocnik... Nędza, głód, wilgoć w mieszkaniu — to warunki jego pięcioletniego życia w mieście. Posłała go mądra matka do szkoły: nauczył się czytać, pisać, trochę malować...



Na rozlewiskach Ikwy pod Dubnem. Fot. Dr. J. Błeszyński.

Kiedyś przypadkiem wstąpił do ich nory gruby, zamożny panisko, o którym Stasiek wiedział, że mieszka w „ich" domu i jest „myśliwym"... Wzrok tego pana padł trafem na akwarele Staśka, przedstawiające obrazki z jego stron rodzinnych, które w chwilach dziwnej tęsknoty odtworzył biedny chłopak jak najwierniej. Kiedy się dowiedział, że to czternastoletniego chłopca robota, długo kręcił głową, coś mruczał, wreszcie wyraził chęć pokazania obrazka swojej rodzinie. Stasiek nie śmiał odmówić — zawinął w papier akwarelę i wręczył „myśliwemu". Wreszcie pan ów wyszedł, mówiąc:

— Szkoda, że nie ma ten chłopak lepszych warunków...

Łudził się jakiś czas Stasiek, łudziła się matka, że bogaty pan pomoże im jakoś, że może weźmie chłopca latem na jakiś czas na wieś, że da mu możność wypoczynku i zaczerpnięcia nowych sił do walki o chleba kawałek... Ale — nic z tego!

Minął od tego czasu rok. Stasiek przeziębił się kiedyś, zamiatając chodniki, zapadł na zapalenie płuc i długo, długo nie mógł powrócić do zdrowia. Aż przyszła jesień tego roku: mokra, przenikająca do szpiku kości. Stasiek uczuł się któregoś dnia chory i odtąd — było mu coraz gorzej. Zbladł, schudł; jakoś dziwnie nie chciało mu się jeść, słaniał się na nogach... Po Bożem Narodzeniu musiał położyć się do łóżka. Odtąd tak sobie leżał, z rękami na kołdrze, cichy, spokojny, jak biała konwalja, co tęskni w cieniu olchy za złotym pocałunkiem słońca... Czasami gorączka się wzmagała, czasami majaczył, czasami pluł krwią...

*

Pod okienkiem siedzi matka.

Promień słoneczny, który dziwnym trafem zbłądził ze szpary między kamienicami do ubogiej izby, zdążył już się przesunąć i teraz — padając naukos — akurat spływa na posiwiałą głowę smutnej matki. Wygląda w blasku, jak święta w aureoli, jak męczennica, która cierpi dla dobrej sprawy...

— Matuś, czy jadłaś obiad? — pyta cicho Stasiek.

— A!... dziecino!... No, jakże się czujesz?... Chwała Bogu, sen cię pokrzepił, lepiej wyglądasz... — zapominając o sobie, troszczy się o syna matka, przybiegając doń i tuląc jego głowę do czułej piersi.

Stasiek leży chwilę cicho, a potem — z jakimś uśmiechem serdecznym, z myślą, uczepioną gdzieś, daleko, pyta...

— Matuś, czy o wiośnie odwiedzimy pod lasem grób naszego tatki?...

Przez twarz matki przebiegają płomienie trwogi i skurcze bólu; mocuje się ze sobą... Z tkliwym smutkiem w oczach szepcze...

— Tak, synku...

— I posadzimy na nim dwie żółte, wysokie dziewanny, wyjęte ze wzgórza pod dawnym naszym domem?...

— Tak, synku...

— I posiedzimy tam trochę, oczyścimy z chwastów grób?...

— Tak synku...

— A potem — pójdziemy?...

Matka chciała zapytać, dokąd synek chce iść, ale, widząc, że Stasiek jakiś osłabiony, tak na nią patrzy żałośnie, tak patrzy błagalnie — odpowiada...

— Tak, synku...

*

Po kilku dniach z małej izby, o ścianach bielonych wapnem, wyniesiono dość dużą, ubogą trumnę.

TYTUS KARPOWICZ

BOCIAN SZKODNIKIEM?

Sprawa bocianów staje się nagle aktualną. Szkodliwe czy nieszkodliwe? Oto pytanie, które sobie z pewnością każdy prawidłowy, a przedewszystkiem przyrodę miłujący myśliwy z niepokojem postawić musiał, po przeczytaniu trzech artykułów w „Łowcu Polskim".

Przyznaję ze skruchą, iż, zaliczając się do wyżej wymienionych, nigdy nie zastanawiałem się nad szkodliwością bociana. Jego klekot na gnieździe, zbudowanem na stodole, wraz z gruchaniem i furkotem przelatujących przez podwórze gołębi, przypominał sielskie czasy wsi Kochanowskiego; jego wyniosła trójbarwna postać, przeważnie spacerująca na łąk zieleni, była zawsze i jest miłym sztafarzem, ożywiawiającym nasz sielski krajobraz.

O tradycyjnym do niego wśród rolniczego plemienia szacunku i pietyzmie, jakim się cieszy wśród wielu narodów, nie wspominam, gdyż u niektórych ludów najdziksze drapieżniki tej czci doznawały i do dziś doznają. A w polskiej karcie myśliwskiej jest tylko bocian czarny wyjęty z pod odstrzału, zwykły bociek zaś, jako specjalnie niewymieniony, czasu ochronnego pomiędzy ptakami błotnemi tylko domagać się może. Więc prawodawca łowiecki także nie poddał się sugestji zwyczajów odziedziczonych i pozostawił tępienie bocianów własnemu uznaniu każdego właściciela łowiska.

Tak i ja zapatrywałem się na tę sprawę i, nie widząc w bocianach nieprzyjaciela zwierzyny, nietylko zbudowałem im na stodole (mimo szkód, jakie mi na dachach czyniły) wygodne pielesze — ale do każdego boćka, spotkanego przy objeździe rejonu, odzywałem się z przyjacielskiem powitaniem. Spowodowało to inteligentne ptaki nietylko do zażyłych stosunków ze mną, ale z całym zespołem zajętych w rolnictwie robotników.

Przed kilkoma laty, w czasie, nawiedzonym mysią plagą, przyjemnością było podczas żniw przypatrzeć się tępieniu przez bociany tak bardzo szkodliwego dla rolnictwa gryzonia. Gdy wóz żniwny zajechał w pole po zbiór, zbliżały się niemal porówno z robotnikami do mendla, wyczekując zabrania ostatniego snopka, aby wychwytać kryjące się pod nim szkodniki. Żniwiarze nazywali je żartobliwie „włodarzami".

Przyjacielskiego stosunku do bociana nie zmienił też widok przyjmowanych do jego siedzib z polską gościnnością wróbli, bynajmniej nie, jak to pi-

sze wielce czcigodny nemrod p. A. hr. Rzewuski, dla „miłego towarzystwa zadomowionych w ich gniazdach ptaków", lecz jedynie, aby dać spożyć swoim długodziobym pociechom młode ptaszki. Wybaczałem im też okolicznościowe kłusownictwo i przekraczanie prawa łowieckiego, wobec ludzkich słabości, które nie liczą się ani z kartą łowiecką, ani z etyką myśliwską. Bocian czyni to z konieczności, a człowiek z chciwości.

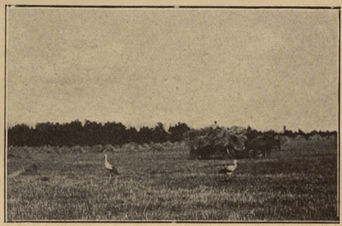
Sielankowy mój stosunek do bociana zmienił się całkowicie w bieżącym roku podczas trwającej u nas suszy. Zadomowione bociany z wiosną nie przybyły na czekające je na stodole gniazdo. Nie zauważyłem też sporu lub walki — jak to się działo w innych latach — o zbudowaną siedzibę na stodole, natomiast liczba ich, buszująca po łąkach, powiększyła się wielokrotnie. Gdy z łąk zeszły na pola, wolne przecież zawsze od żab i ślimaków, zacząłem je obserwować i poleciłem badać pracującym i zajętym w polu urzędnikom.

I cóż się okazało? Zaczęły nadchodzić sprawozdania niepomyślne i coraz to niepomyślniejsze dla bociana. To o zniszczeniu gniazda czajek na łące, to o ułowie świeżo wylęgniętych kuropatewek i o ich walecznej obronie przez matkę, a stadko bażantów jedynie dzięki interwencjom robotników od zagłady bociana uratowane zostało.

Tutaj należy objaśnić, iż skromne moje łowisko (tak mile ocenione przez p. kapitana J. W. Kobylańskiego w nr. 24 r. 1936 „Łowca Polskiego") od pewnego czasu nawiedzone zostało niezwykłą ilością różnych skrzydlatych drapieżników. Czaple zaczęły odwiedzać w niebywałej dotąd ilości stawy, a nawet i łąki, wrony przylatywały i obsiadały pola w stadach, podobnych do przelotu szarańczy, a uzupełniły ten nalot bociany w niewidzianej w tej porze ilości. Przy zbliżającej się jesieni, podczas odlotu, widok zwyczajny — ale na wiosnę?... Bezwątpienia widowisko niezwykłe. Bez najmniejszej wątpliwości takie stado, obsiadłszy pole, wyłowić było zdolne wszelkie żyjące na niem młódki ptasze. Usiłowania moje odstraszenia bocianów ślepemi strzałami okazały się bezskuteczne — zasiadały znów o kilkaset kroków, aby dalej buszować na przyległych polach.

Z przykrością zauważyłem, iż takiemi środkami nie uwolnię się od tej plagi, należało dać radykalniejszy przykład obrony łowiska. Ze zrywającego się stada odstrzeliłem najmocniejszą sztukę. Efekt był rzeczywiście nieoczekiwany! Stado nie uciekało, jakby tego można było się spodziewać, ale z wielkim łoskotem skrzydeł poczęło okrążać poległego towarzysza — mimo niebezpieczeństwa, jakiem mu groził bliski odstęp od dalszych pocisków mojej strzelby. Z zajęciem przypatrywałem się temu widokowi, trwającemu długo, bardzo długo. Zniżały się do leżącego, aż do ziemi, jakby mu pomódz chciały do powstania i ucieczki. Drugi strzał, ale już tylko ślepy, zniewolił je ostatecznie do opuszczenia niegościnnego łowiska.

Żołądek zabitego wykazał fragmenty jakiegoś ptaka, ale niezwykłą osobliwością była umieszczona na nodze obrączka z następującym napisem: „Vogelwarte — Helgoland — Germania. Urgent retour. 213140". Obrączkę odesłałem pod wskazany adres. Sądząc z jej wyglądu, ptak nosić musiał ją lat kilka. Dziwne tylko, iż w drodze powrotnej zatrzymał się w Polsce, a nie wrócił do rodzinnych pieleszy, któremi niezawodnie była Danja lub półwysep skandynawski.



Polowanie na myszy. Fot. K. Komierowski.

Rok suszy i epizod mój tegoroczny, wraz z powyżej wymienionemi artykułami pp. Prenumeratora-hodowcy, B. Ratyńskiego i hr. Rzewuskiego, dają nam wskazówki jaki zachować stosunek do tradycyjnie czczonego boćka. Tam, gdzie wykazuje on przewagę i zaczyna być zuchwały, należy go przywołać do przysługującego mu stanowiska: ozdoby sielskości wsi polskiej i jej krajobrazu, i to z całą stanowczością.

Odtąd też mój rewir od bocianów ma spokój, przynajmniej od stadami polujących. Pojedyncze spacerują dalej po ścierniskach i słuchają dalej powitania mojego:

— Jak się masz, bosiu!

WŁADYSŁAW JANTA - POŁCZYŃSKI.

DZIWIĆ SIĘ NALEŻY!..

Że nasi mili goście z Międzynarodowej Rady Łowieckiej na wiosnę 1934 r. osiągnęli pokot 670 kaczorów; że ten i ów z naszej braci „wali" po parę setek tego gatunku na wiosennych rozlewach Prypeci czy Jasiołdy — tysiące zaś ubijane są na sadach poleskich; że w kraju całym pada mnóstwo akwatycznych odmian, od klapaczowskiego niemowlęctwa począwszy — dziwić się należy!...

Tyle już o tem pisano w kampanji obronnej o koszmarowem niszczeniu przelotnego ptactwa z powodu instalacji prożektorów, latarń morskich, używania przez transatlantyki zabójczego mazutu, tępienia przy pomocy kanardjerek i gabionów.

Bóg Najwyższy — zmiłował się!

Ostatni Kongres Myśliwski w Warszawie powziął szereg zbawczych pod tym względem, wielce mądrych postanowień.

Pozostały coprawda smutne relacje o gremjalnych wyprawach po góry kaczych jajek przez ludność polesko-wołyńską, o wybieraniu i duszeniu piskląt przez bukolicznych pastuszków i ich poczciwe kundelki... Zawsze jednak w głębi serca pozostawały słodkie iluzje, albowiem ogromny odsetek kaczek, odlatujących dla lęgów ku tundrom głębokiej północy, tam — aż het — ku wybrzeżom Morza Lodowatego, chyba że miał zapewnione bezpieczeństwo i niezawodnie został uratowany.

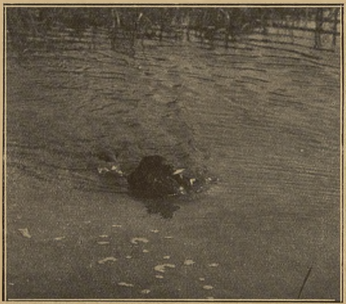
Wielki życiodajny proces rozmnoży prawie że wszystkich kaczych i gęsich odmian — może tam chociaż odbywa się w świętej ciszy i błogosławionym spokoju.

Okazuje się, że i w tym wypadku żyliśmy słodkiemi złudzeniami. Odpada bezpowrotnie jeszcze jedna z krzepiących utopij!

Oto przedemną leży nadzwyczaj ciekawy egzemplarz „Izwiestij Sibirskoj Nauczno - ochotniczepromysłowoj stancji" (Bulletins of the All - Siberian Scientific Hunting Research Station), wydany w Nowosybirsku, pod redakcją prof. M. Zaleskiego, przy

współpracy grona takich specjalistów, jak: Lichaczew, Zwieriew, Troickij, Sładskij.

Nie mówiąc już o szeregu znakomitych artykułów wyżej wspomnianych pisarzy, o stylu ściśle naukowym i treści traktowanej z największą objektywnością, zastanawia szczególnie praca M. D. Zwieriewa (The lundering methods by which are procured the hunting birds in Barabinskaja steppe. West Siberia), w której mowa o barbarzyńskich sposobach łowieckich zdobywania ptactwa.



Daj aport!... Fot. Adm. M. Borowski.

Zagłębiwszy się w ten wyczerpujący referat o masowem tępieniu wszelkiej akwatyki, przekonywamy się dopiero naocznie, o czem już tyle razy pisałem, jak koniecznym jest bezpośredni kontakt z naszym wschodnim sąsiadem, także i na polu łowieckiem.

Dawno pora odrzucić wszelkie animozje, pogodziwszy się z życiową „ewolucją". Tembardziej, gdy widzimy, ze strony sowieckich uczonych nadzwyczajnie poważny system traktowania całokształtu zagadnień myśliwskich. Ani cienia zwykłej propagandowej frazeologji! Naga prawda i szczery opis istniejących tam stosunków i odbywających się koszmarów ze strony proletarjackich mas.

Cóż z tego, że wysiłkiem międzynarodowej myśli łowieckiej osiągnie się cały cykl zbawiennych zarządzeń na Zachodzie? Niezawodnie będą miały i owe ograniczenia oraz reglamentacja normalna całej sprawy — niezwykłe, doniosłe znaczenie, ale tem kwestji bynajmniej się nie wyczerpie.

Zachód i Środkowa Europa będą ochraniać — podczas gdy Wschód — bezlitośnie tępić bez pardonu! A nie należy zapomnieć, że rejony te przedstawiają właśnie ów główny rezerwuar rozmnoży wszystkich, a specjalnie niektórych przelotnych u nas odmian, że wobec ogromu tamtejszych przestrzeni szalenie trudna jest walka z tem złem. Nie wątpię jednak, że miarodajne sfery „radzieckie", przy całej bezwzględności stosowania swych metod, potrafią załatwić się z temi zagadnieniami, jakoteż z absolutną jeszcze ciemnotą wszelkiego rodzaju „inorodców" nawet. Propaganda racjonalnych poglądów wśród ludności najdalszych zakątków wyśmienicie zorganizowana jest przez szerzenie w nich kulturalnych pojęć łowieckich za pomocą Wszechrosyjskiego Wojskowego Towarzystwa Myśliwych (skrót W. W. O. O.), oraz jego organu — „Bojownika - Ochotnika".

Zapuszcza on korzenie swych zasad wśród najszerszych sfer krasnoarmiejców, którzy po odbyciu służby, odpowiednio wyszkoleni, stają się pionierami tych zasad w środowisku swych nieuświadomionych współrodaków. Oprócz tego cały aparat referatów, odczyty, w „Wołkonach" (zarządach gminnych) — no i oczywiście „skrzepienie" owych postulatów silną ręką „twiordoj władsti" — krótko mówiąc: kułakiem!... Cóż robić! Bez tego argumentu obejść się czasami trudno i to nietylko w „sowchozach" i „kołchozach" przeróżnych. Przydałby się nieraz w niejednej idylicznej Arkadji na świecie.

Prof. Zwieriew, który cały rok spędził nad badaniem fauny Barabińskich stepów, kreśli pełny grozy obraz praktykowanego tam (a to jeden tylko z licznych zakątków stref dalekich) przez miejscową ludność wandalicznego niszczenia i marnowania darów Bożych. Od kwietnia począwszy, wszyscy tubylcy wyruszają na zbiórkę jaj. Zwykły to objaw i na naszem Polesiu — nieprawdaż? Z praktykowanym tam technicznym warjantem wypalania zeszłorocznej roślinności: łoźniaków, wiklin, trzcin i oczeretów.

Po tej manipulacji naturalnie wszystkie gniazda stają się więcej widoczne. Co za bezmierna głupota!

Pod względem rozpoznawania jajek już zasiedzianych znajdują się wśród myśliwych niezrównani znawcy, którzy odrazu określają stadjum rozwinięcia się w nich zaczątków życia. Ale oprócz tego noszą z sobą kociołek z wodą, do którego wrzucają jajka.

Ponieważ przeważnie obszary gniazdowania i lęgów są zarosłe trzciną z gatunku, który odnawia się dopiero po upływie dwóch lat, tereny ogołocone pozostają na ten okres czasu absolutnie nieprzydatne do lokowania się na nich ptactwa.

W wyprawach tych uczestniczą na łódkach i pieszo — płeć piękna i miłe bachorki północne. Dla nauki...

Giną przy tem miljony jajek!

Cudem jakimś udało się pewnemu odsetkowi gęsi i kaczek pomimo wszystko wyhodować swe pokolenie.

Dopiero tu rozpoczyna się nowa „utiecha".

Po całym Barabińskim stepie rozrzucona jest sieć jezior niezmiernie zarośniętych, jak Grań, Dżergonys, Czunkata, Wielki i Mały Łogal, Uzurgul, Utiaczie i. t. d.

Tam w okresie pierzenia koncentrują się tysiące kaczorów, jałowych kaczek i gęsi.

Gdy nastąpi pora, zorganizowane „watahy" od 8 do 12 ludzi, pod wodzą tak zwanego szefa „baszłyka", wypatrują „tok", to jest miejsce zarosłe, w którem na dzienną porę zaszywają się biedne wypióry — na noc bowiem wypływają dla żeru na czyste wody. Jako narzędzie łowów służą sieci, zwane „gonami". Wysokość gonu wynosi 2—1¼ metra, grubość nitek — około milimetra, długość — od dwudziestu metrów wzwyż.

Zestawia się z nich zagrody pozwalające objąć jak największy obszar trzcin i zarośli. Wprawne oko takiego przewodnika „baszłyka" odrazu „skapuje" po ilości piór i śladów, czy warto przystąpić do polowania. Jeśli tak, to najprzód instaluje się tak zwana „prigoń", w którą powinna wejść pędzona zwierzyna. Po bokach, jako straszaki, ustawiają tyczki z koszulami, płachtami (coś w rodzaju flader).

Kilku myśliwych wchodzi w wodę, napędzając ofiary cicho, powoli, pokłaskując tylko. Na czystą wodę, jak oni mówią „stiekło", leniejące okazy nie wyjdą w dzień za żadne skarby świata. Więc kiedy, pod ten czas zawsze idąc pod wiatr, zapędzi się stada w „prigoń" obstawioną skrzydłami, daje się umówiony sygnał i... polowanie zakończone.

Pozostaje miła operacja „zakąsywania" zdobyczy, to jest druzgotanie zębami „prodołgowatawo mozga" — mówiąc zawodowo.

Prawdziwa idylla — co?

Smutne te trofea dzielą się na „wypiórowe" i „skrzydlate", to znaczy poczynające już latać. Ale i te ostatnie też nigdy nie opuszczają swych pozbawionych aparatu lotniczego nieszczęsnych kompanów. Który nawet podleci nieco, opada zaraz z po-

wrotem... do kupy. „Leniaki" zaś, którym udało się prześlignąć z pod sieci na brzegi, bywają dołapywane rękami, w biegu (rodzaj polowania „par force") — przez ad hoc rozstawionych „socjuszów" wyprawy.

Jezioro, na którem „zagon" da tylko paręset sztuk, uważane jest za nic niewarte, dopiero, poczynając od tysiąca okazów uważane jest za dobre i kalkulujące się. Często bardzo, gdy zbierze się w ostępie z parę tysięcy sztuk, siatka może nie wytrzymać naporu zaplątanej w nim zdobyczy. Wtedy ustanawia się już kilka rzędów „gonów", wziętych ze skrzydeł. Natenczas występuje kompletne bezpieczeństwo — ani jedna gąska czy kaczka nie zmarnuje się. W roku 1927 na jeziorach „Czanow" zdobyło więcej, niż dziesięć tysięcy gęsi.

Drogą indagacyj udało się prof. Zwieriewowi tylko w dwóch rejonach byłego Barabińskiego okręgu, mianowicie Jeińskim i Tatarskim, zdobyć wiadomości, że kilka „artieli" (kompanij) wyłowiło ponad sto tysięcy samych tylko kaczek podczas jednego sezonu. Są to cyfry problematyczne, gdyż „miestnyji towariszczi" bardzo niechętnie udzielają statystycznych wiadomości intruzom.

Oprócz tych masowych sposobów, łapią jeszcze kaczki na sidła (pętle), posługując się znaną u nas krykuchą. Przez dzień zdobywa się pełną łódkę „rozamorowanych" kaczorów, raczej wybiera się je, objeżdżając rejon.

Oryginalna jest metoda łapania młodych gęsiąt z jamek, kiedy to stadka piskląt wychodzą na paszę. Ukryty w jamie „ocholnik" wyskakuje, jak djabeł z procy, odganiając małe od wody i rękami zbiera je. Hodują się razem ze swojskiemi, później zarzyna się je, kiedy podrosną — przydadzą się w gospodarstwie.

No, czytelnicy najmilsi — bez komentarzy! Czy dziwić się 670 sztukom wiosennym, bajecznych rozkładów poleskich, czy wogóle temu, że się jeszcze kaczki strzela — a nawet widzi?... Bajeczna jest siła odrodcza wszechstworza, jak bezmierne są obszary arktyczne tundr sybirskich i samojedzkich, ale... wszystko musi mieć swój koniec i granice.

Wszystko się wyczerpuje, więc nie dziwmy się tylko, ale piszmy i działajmy — my i nasi sąsiedzi zachodni — to grunt.

ADAM RZEWUSKI.

GWARANTOWANE LĘGI BAŻANTÓW

Od czasu kiedy hodowla bażantów bardzo się rozpowszechniła zarówno u nas, jak i zagranicą, rozwinął się jednocześnie handel jajkami wylęgowemi bażantów, co skłoniło niektórych hodowców do prowadzenia swych bażantarni specjalnie w tym kierunku. W szczególności rozwinęła się ta gałąź hodowli w Anglji i Francji, gdzie nie należą do rzadkości bażantarnie, produkujące po kilkadziesiąt tysięcy sztuk jajek w sezonie. W miarę wzrastania konkurencji, hodowcy zagraniczni wprowadzili zwyczaj gwarantowania określonego zgóry procentu jajek zalężonych, a nawet wylęgu, z czem również spotykam się i u naszych hodowców, którzy bezkrytycznie ten zwyczaj zaczęli stosować.

Nie będąc wcale zainteresowanym w tej dziedzinie, gdyż handlem jajkami wylęgowemi ptactwa dzikiego z zasady się nie zajmuję, chciałbym tylko tak jednej jak i drugiej stronie, t. j. nabywcom i sprzedawcom, wyjaśnić i dowieść, że wszelkie tego rodzaju tak daleko idące gwarancje nie mają najmniejszej podstawy i nie powinny być poważnie traktowane. Jeżeli hodowca — producent będzie chciał dotrzymać udzielonej gwarancji, to w konsekwencji prawie zawsze narażony będzie na stratę, albo na konflikt z odbiorcą, od czego bardzo zręcznie wymigują się dostawcy zagraniczni, umieszczając obok gwarancji nic nie znaczące napozór zastrzeżenia, które właściwie całą gwarancję sprowadzają do zera.

Dla większej jasności moich twierdzeń, tu przedstawionych, dzielę handel jajkami bażanciemi na trzy kategorje: 1) handel jajkami wylęgowemi z hodowli prowadzonych wyłącznie na dziko, 2) — z hodowli woljerowych i wreszcie 3) handel jajkami bażantów ozdobnych.

Jajka z bażantarni prowadzonych wyłącznie na dziko mogą być dobre, zarówno jak i złe. Dobre będą wówczas, gdy stosunek liczebny kur do kogutów będzie odpowiedni, gdy wiosna nie będzie zbyt zimna i dżdżysta, gdy teren bażantarni nie jest zbyt wilgotny, gdy jajka będą umiejętnie podbierane, gdy nie będą przetrzymywane zbyt długo do czasu ekspedycji, gdy będą należycie opakowane i przewiezione bez narażania ich na wstrząsy, — gdy po przywiezieniu na miejsce będą odpowiednio przechowane do czasu podłożenia ich pod nasiadki, gdy gniazda będą należycie zrobione, gdy ilość jajek podłożonych pod nasiadkę nie będzie przekraczała dopuszczalnej ilości i wreszcie gdy nasiadki przed nasadzeniem będą dobrze siedziały, co zabezpiecza jajka od zaziębienia.

Oto kilkanaście kardynalnych warunków, z których każdy ma decydujący wpływ na dobry rezultat lęgów. Jak widzimy, większość ich jest tak dalece niezależna od hodowcy — producenta, że o jakichkolwiek gwarancjach z jego strony mowy być nie może.

Przy produkcji jajek systemem woljerowym sprawa ma się nieco inaczej, gdyż w tym wypadku hodowca ma możność daleko idącej kontroli. W jego ręku spoczywa dobór egzemplarzy, przeznaczonych do rozpłodu i ewentualna zamiana sztuk, któreby okazały się z jakichkolwiek względów nieodpowiednie, a ponadto ma stuprocentową pewność co do świeżości i daty każdego zniesionego jajka, co już jest bardzo dużo.

Nie przesądza to jednak w niczem, czy lęgi z tak wyprodukowanych jajek będą udatne lub nie, bo pomimo że producent zrobił ze swej strony wszystko, co należało, odbiorca może zaniedbać dopełnienia tych kardynalnych warunków, o jakichś wyżej wspominałem, a które dotyczą obchodzenia się z jajkami od chwili ich otrzymania aż do wylęgu. Jeżeliby zatem stanąć na gruncie słuszności, to gwarancji ze strony dostawcy musiałaby odpowiadać identycznie gwarancja ze strony odbiorcy, że tak, a nie inaczej, postępować będzie z dostarczonemi jajkami. Czyż nie prościej zatem, aby obie strony zrzekły się zgóry iluzorycznej kontroli, której przeprowadzenia nie mają najmniejszej możliwości. Zaoszczędziłoby to wielu niepotrzebnych na tem tle nieporozumień, względnie strat producentów, którzy dla świętego spokoju przysyłają dodatkowo zastępcze partje jajek, lub dokonują zwrotów gotówkowych, nie będąc w większości wypadków winnymi lęgowych niepowodzeń.

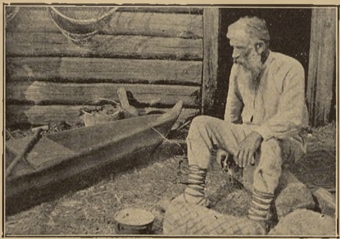
Przy dostawach jajek bażantów ozdobnych, pomimo że są one hodowane wyłącznie woljerowo, dobroć ich zależy w pierwszym rzędzie od materjału zarodowego i jego ilości. Z natury rzeczy bażanty ozdobne, ze względu na ich cenę, hodowane są w małych ilościach, toteż aby uzbierać większą ilość jajek potrzeba dłuższego czasu. Wartość jajka wylęgowego po upływie 2-ch tygodni od chwili zniesienia spada szybko, czyniąc je po dłuższem przechowywaniu zupełnie niezdatnem. Z tej też racji względnie dobre i świeże jajka nabywać można z bażantarni, dysponujących większą ilością zarodowego materjału, co dotyczy zarówno zwykłych bażantów wszelkich gatunków dla celów myśliwskich, jak i ozdobnych.

STANISŁAW KAMOCKI

PRODUKCJA AMUNICJI KRAJOWEJ A IMPORT

Zamieszczając w Nr. 22 „Łowca Polskiego" artykuł Gen. w st. sp. Inż. Walerego Maryańskiego p. t. „Samowystarczalność w dziedzinie strzelnictwa," Redakcja opatrzyła ten artykuł odnośnikiem, w którego treści, podkreślając godną uznania tendencję autora, zaznaczyła, iż rezerwuje sobie odpowiedź wyjaśniającą, bowiem według danych, opartych na statystyce naszych fabryk amunicji, cyfry ilustrujące zużycie amunicji, zawarte w artykule Inż. Maryańskiego, jak również pewne szczegóły, dotyczące importu amunicji zagranicznej (sportowej) oraz niektórych elementów do jej fabrykacji (także i do śrutowej) nie pokrywają się z faktycznym stanem, panującym w tej dziedzinie.

Niech mi zechce darować Gen. Inż. Maryański, że pod niniejszym artykułem wyjaśniającym znajdzie podpisane moje nazwisko, lecz tak złożyły się okoliczności, że mnie właśnie przypadło w udziale jego autorstwo. Postaram się utrzymać moją odpowiedź w tonie właściwym i rzeczowym, unikając wszelkich momentów polemicznych, a drugorzędnych, co nie leży ani w Redakcji, ani w moim zamiarze.



Poleski rybak i przewoźnik w jednej osobie. Fot. M. Malicki.

Zacznijmy od cyfry ogólnej konsumcji nabojów śrutowych w Polsce. W tem miejscu nie należy zapominać, że zarejestrowanych myśliwych w r. 1936 było w Polsce ca 48.000 osób, a niewątpliwie żadne warunki nie złożyły się na to, aby w roku bieżącym liczba ta wydatnie się powiększyła, przeciwnie — raczej należy przypuszczać, że jeszcze bardziej spadła.

Gdybyśmy nie posiadali żadnej statystyki produkcji i sprzedaży nabojów śrutowych, musielibyśmy dojść do przekonania, wobec cyfry podanej przez Inż. Maryańskiego, a dotyczącej zużycia kapiszonów (importowanych), na 50 miljonów, że przeciętnie jeden myśliwy zużywałby u nas rocznie ponad 1.000 nabojów. Czyż to jest choć w połowie możliwe?!

A któż tak dalece strzela do rzutków? Sport ten raczej jest u nas jeszcze w powijakach i nie można brać miary z zawodów, urządzanych od trzech lat przez P. W. P. Pionki, na których gratisowa amunicja — bądźmy szczerzy — sprowadza około 60 zawodników (co czyni 6000 rzutków, czyli plus minus wymaga 9.000 — 10.000 nabojów). Pozatem wszelkie inne zawody regjonalne, których bywa w różnych miejscowościach kraju z dziesięć rocznie, zgromadzają zaledwie po 10—20 uczestników, strzelających przeciętnie do 30 rzutków! (15×30×10 = 4500 rzutków, a zatem znów 6.000—7.000 nabojów). Treningi! Daj Boże, żeby dały przed temi wszystkiemi konkursami drugie tyle. Narodowe zawody zgromadzają znikomą liczbę zawodników, ale niechby 20-tu (20 × 300 = 6000 rzutków, a więc znów 9.000 do 10.000 nabojów). Czy zgodzi się ze mną Inż. Maryański na ten rachunek? Strzelanie do rzutków w Polsce pochłania narazie zaledwie 25.000 nabojów i tyleż na treningi — niech ostatecznie ta cyfra dojdzie do 100.000 nabojów, skoro, jak zaznacza Sz. Autor, zna jednego pana, który w tym celu zużywa 7.500 rocznie. Niechże takich i nieco zbliżonych jest 10-ciu. To dopiero usprawiedliwi cyfrę 100.000 nabojów na strzelanie do rzutków.

Ale nie błądźmy w subjektywnych poglądach na tę sprawę, choć rzeczywistą orjentację wyrobić sobie tu nie trudno, dobrze analizując poprostu... życie i warunki naszych myśliwych i naszych strzelców rzutkowych.

Zakłady amunicyjne „Pocisk" produkowały i sprzedawały w ostatnich latach trochę ponad 4.000.000 śrutowych nabojów rocznie. Warszawska Spółka Myśliwska (W. F. A.) mniej więcej w tych samych granicach zamykała swe roczne obroty. Rekonstruowanych nabojów zużywa się w Polsce rocznie — sądząc ze sprzedaży potrzebnych do nich kapiszonów — około 2.000.000, a i ta cyfra ulegnie zmniejszeniu w łączności z ostatniem potanieniem gotowego naboju fabrycznego.

Zatem przyjmując w przybliżeniu, niedalekiem od rzeczywistości, możemy produkcję fabryczną nabojów śrutowych określić na 8.000.000, rekonstruowane naboje na 2.000.000. I tu już patrzymy się na obrót nabojów w dość różowych barwach.

Z tego jasno wynika, że na zakup kapiszonów importowanych nie możemy wydawać 1,75 miljona złotych, lecz o wiele mniej. Tu także musimy brać nie cenę hurtową, stosowaną przez hurtowników przy dalszej sprzedaży tych kapiszonów mniejszym kupcom, lecz cenę płaconą przez fabrykantów i innych importerów, do których stosowane są rabaty, zniżki walutowe i t. p. okoliczności. Cena ta wynosi około 3 zł. za 100 szt. A więc na importowane kapiszony Sinoxid wydalibyśmy najwyżej 300.000 zł. rocznie. Ale i ta cyfra w istocie jest dziś mniejszą, gdyż do rekonstruowania naboju żądane są tańsze (cena hurt. ca 2.50 zł.) kapiszony czeskie i austrjackie.

Przejdźmy do amunicji bocznego zapłonu kal. 22. Nie będę się wdawał w korygowanie cyfry zużycia tej amunicji, którą p. Inż. Maryański określił na 50.000.000. Powiem tylko jedno na podstawie pewnych ścisłych wiadomości: pragnąłbym, żeby tak już dzisiaj było! Niestety daleko nam do tego — strzelamy stanowczo za mało.

Może jednak zajmiemy się bliżej cyfrą „20.000.000 sztuk wszelkiego rodzaju amunicji bocznego zapłonu, sprowadzanej z zagranicy". Cyfra ta nie odpowiada nawet w przybliżeniu rzeczywistości, sprowadzamy bowiem według danych statystycznych gotowych nabojów wszelkich możliwych gatunków i rodzajów amunicji tego typu, z istniejących na całym świecie, nie więcej, niż 500.000 — 700.000 rocznie, a elementów w postaci tylko łuseczek, powiedzmy bardzo hojnie, 3 — 5 miljonów, a wszystko za około 120— 150.000 zł. rocznie.

Z tem wszystkiem, opierając się na danych rzeczowych, zaczerpniętych u źródeł, śmiem twierdzić, że wydatek nasz na towar importowany w postaci kapiszonów do nabojów śrutowych, gotowej amunicji do broni małokalibrowej oraz łuseczek do tejże — wszystko dla zalet masy „Sinoxid" — nie przewyższa sumy zł. 400 — 450.000 złotych, co w porównaniu z sumą przyjętą przez p. Inż. Maryańskiego (2.25 miljona zł.) wynosi akurat pięć razy mniejszy wydatek na ten dział importu.

Niemniej musimy dążyć do tego, aby podołać fa-

brykacji w kraju wszystkich elementów, potrzebnych do amunicji śrutowej, jak i sportowej, co wszelako dziś sprowadza się wyłącznie do wynalezienia masy zapłonowej o zaletach „Sinoxid", gdyż inne elementy wytwarzamy doskonałej wartości w kraju. To się jednak wiąże nietylko ze szczęśliwemi pomysłami i doświadczeniami laboratoryjnemi naszych chemików, ale także i z tem, że fabrykacja tego rodzaju musi się oprzeć koniecznie o kalkulację. Czy stworzenie specjalnego działu tej fabrykacji przy którejkolwiek z fabryk prochowych i przeprowadzenie szeregu prób, doskonaleń i t. d. wytrzymałoby dziś tę kalkulację — bardzo wątpię. To niewątpliwie również musiało wstrzymać narazie kontynuowanie produkcji kapiszonów myśliwskich przez „Pocisk".

Stanie się to sprawą aktualną i możliwą, gdy zwiększy się konsumcja amunicji. Trudno jednak liczyć na prędkie ułożenie się naszych stosunków myśliwskich w tak szczęśliwy sposób, aby miast 48.000 myśliwych była ich podwójna liczba. Zbyt wielkie jeszcze ponosi nasz myśliwy ciężary, od podatków do gospodarowania łowiskami, o czem tak wiele już pisaliśmy.

Największe zatem horyzonty otwierałoby strzelectwo sportowe, które rozwinęło się dość znacznie, ale ciągle jeszcze postęp ten idzie w zbyt powolnem tempie. Miejmy nadzieję, że wielki wpływ na tę sprawę będzie miała ostatnia 35% zniżka cen nabojów małokalibrowych, umożliwiająca szerszym kołom ćwiczenie i strzelanie wogóle, a eliminująca jeszcze bardziej import drogich gotowych nabojów zagranicznych.

Na zakończenie małe uzupełnienie. W ustępie trzecim artykułu p. Inż. Maryańskiego czytamy, że wyrabiamy w kraju doskonałe elementy do nabojów myśliwskich. Dodać tu trzeba wyraźnie, że wytwarzamy z tych elementów również doskonałe naboje.

Co do amunicji małokalibrowej wypada także mocno podkreślić, że wyrabiana zarówno przez „Pocisk", jak W. F. A. jest już dziś amunicja dobrą, a nadto, że nieustannie pracuje specjalna komisja przy udziale odpowiednich fachowców nad stałem jej ulepszaniem i jak dotąd z dobremi wynikami.

Stąd oczywisty wniosek ostateczny, że przy wzmożonej konsumcji, którą p. Inż. Maryański widzi w nader wysokich cyfrach już dzisiaj, posiadamy wszelkie dane, aby samowystarczalność naszą w dziedzinie produkcji amunicji doprowadzić do stuprocentowego wyniku, unikając nawet drobnego stosunkowo wydatku w tej dziedzinie na elementy, bądź gotowe naboje zagraniczne, co pochłania dzisiaj około czterystu tysięcy złotych.

I jeszcze jedno. Wspomina p. Inż. Maryański, że dotąd nie produkujemy śrutowej broni myśliwskiej. Otóż jest poniekąd w błędzie. Wojskowa Fabryka Broni w Radomiu już w r. 1935 uruchomiła dział produkcji broni myśliwskiej. Dotychczas były to mniej lub więcej udane próby, lecz należy oczekiwać, że fabryka ta, opierając się na wskazówkach fachowców, powinna wkrótce dojść do wytwarzania dobrych, solidnych i estetycznych dubeltówek seryjnych.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

CZY WYŻEŁ DOWODNY?

W numerze grudniowym ub. r. miesięcznika „Mój Pies" zamieszczony został artykuł wstępny pióra prof. Dr. T. Marchlewskiego p. t. „Z zagadnień hodowli kontynentalnych ras wyżłów". Artykuł ten poruszył dawno mnie zajmujące pytanie, które krótko ujęte brzmi: — „Czy wyżeł dowodny?".

Polując przeszło trzydzieści lat, miałem sposobność posiadać różne psy, cały mój żywot myśliwski spędziłem na ziemiach, gdzie prawie niepodzielnie panuje w łowiectwie niemiecki pies, a mimo to doceniam wysoką wartość pointerów, gdyż posiadałem je również. Osobiście nie kładłem wielkiej wagi na to, aby moje psy (naturalnie ras niemieckich) konieczne były wyżłami t. zw. dowodnemi wedle wszelkich wymagań, jakie im stawiają ich wielbiciele, starałem się tylko o to, aby odpowiadały one moim potrzebom i wymaganiom. Czytając zaś coś niecoś, biorąc udział w życiu łowieckiem organizacyjnem, posyłając swe psy nolens votens na konkursy, sędziując na popisach psów myśliwskich — musiałem zastanawiać się często nad kwestją, jakiego psa potrzeba naszemu myśliwemu i czy konieczny dla niego jest tak zwany wyżeł dowodny, a wkońcu jaką ma wartość taki wyżeł dla myśliwego.

W artykule tym nie mam zamiaru pytań tych rozstrzygać, pozostawiam to kompetentniejszym ode mnie, byłbym atoli zupełnie zadowolony, gdybym wywołał choć skromną ilość odpowiedzi, któreby posunęły naprzód rozważania w tym kierunku i wpłynęły może na pewną modyfikację popisów psów myśliwskich, gdyż popisy te bezsprzecznie wywierają duży wpływ na hodowlę, a tem samem na zaopatrywanie myśliwego w potrzebnego mu psa.

Na początku muszę zaznaczyć, że w naszych stosunkach łowieckich i finansowych psy ras angielskich, mimo wszelkie ich walory, często znacznie wyższe od cechujących rasy niemieckie, według mego zdania nie mogą wyprzeć niemieckiego wyżła. Nasze sposobności łowieckie — polowania polne, błotne i wodne, klimat nasz, kosztowność psa ras angielskich, jego jednostronność — predystynują psa niemieckiego na użytkowego dla przeciętnego naszego myśliwego, który musi się liczyć z wydatkami i nie może sobie pozwolić na utrzymywanie całej sfory różnorakich psów*).



Pick z Rościnna uzyskał w klasie starych psów I, II (2) i III (2) nagrody na próbach polowych 1937 r. Fot. B. Poczta.

To postawienie kwestji rasy pociąga za sobą naturalnie konieczność rozważenia pytania, czy pies niemiecki musi być koniecznie wyżłem dowodnym, jak go chcą widzieć niemieccy myśliwi i hodowcy, a za nimi, z powodu rodzimej pasji naśladowania obcych wzorów, nasi myśliwi i hodowcy. Specjalnie mam tu na myśli przygotowanie psów do konkursów,

* Nie podzielamy tego poglądu (przyp. red.).

które kształtują nietylko hodowlę, ale także smak myśliwych. Otóż z całą świadomością, że to, co teraz powiem, ściągnie na moją głowę klątwę wielu wyznawców wyżła dowodnego i to specjalnie w okolicach mi bliskich, ośmielam się powiedzieć, że to, co robi się teraz w kierunku „dowodności", nietylko nie wytwarza typu psa, jakiego myśliwy potrzebuje, ale grozi nawet zupełnem jego wypaczeniem, a co najgorsze, sprowadza również, że dla tej „dowodności" zapomina się o tem, iż pies powinien mieć węch i że celem podniesienia tej psiej najkonieczniejszej cnoty żadna ofiara nie jest za wielka.



Dinna v. Bruchhof uzyskała 30.IV.37 I nagrodę na próbach pod Poznaniem i II miejsce za eksterjer; 5.V.37 — II nagr. pod Inowrocławiem. Fot. B. Poczta.

Niemcy z wrodzoną sobie praktycznością, która czasami innym narodom nawet na nerwy działa, powiedzmy, że przesadzili trochę ze swoim „Gebrauchshundem". Twierdzę, a sądzę, iż ze mną co do tego zgodzi się większość myśliwych i hodowców, że taki „cudo-pies" jeszcze się nie narodził, a conajmniej arcyrzadki jest pies, któryby we wszystkich „fachach", jakich się wymaga od wyżła dowodnego, rzeczywiście był „ff"; co więcej, prawie niema treserów, którzyby takie „cudo" przez tę psią akademję przeprowadzili i to z wynikiem *summa cum laude*. Tymczasem my potrzebujemy doskonałego psa dla naszych celów, a według mnie, bardzo małą wartość ma dla myśliwego, nie będącego 100%-ym snobem, możność chwalenia się, że jego pies umie wszelkiego rodzaju sztuczki, dzisiaj od wyżła dowodnego wymagane.

Pierwszem i to najbezwzględniejszem wymaganiem, jakie powinno się stawiać wobec psa myśliwskiego, jest, jak rzekłem, węch. Tymczasem dzisiaj na konkursie można uzyskać nawet złoty medal dla swego psa, mimo że nie wykaże pierwszorzędnego nosa. Jako przykład niedoceniania nosa u psa w polu, co dla naszego myśliwego powinno być najważniejszem, niech posłuży fakt, że według instrukcji dla sędziów § 2 (str. 299—300 Kal. Myśl. na 1937 r.) cyfra wartości wiatru w pracy polnej wynosi 5, a natomiast dławienie drapieżnika, bez czego się może każdy myśliwy obejść, ma cyfrę 6. Dalsze porównanie: (§ 3) do uzyskania I-ej nagrody konieczne jest tylko 12 pkt. (9 różnych ocen) w pracy polnej, a za to w pracy za farbą (3 oceny) aż 15 punktów. Wiadomo zaś, że porządnej, wartościowej pracy za farbą, takiej, jakiej się wymaga od tropowca, nie da żaden, nawet najlepszy wyżeł dowodny. Praca za farbą, a lepiej powiedzmy szkolenie w niej, nie poprawia węchu psa, bo go uczy szukać z nosem przy ziemi, co psuje tak cenny górny wiatr, a zresztą co jest warta dla praktycznych celów praca za farbą conajwyżej dwugodzinną i jeszcze najczęściej dość obfitą.

Według mego skromnego zdania pies myśliwski, aby był rzeczywiście w naszych warunkach i przyzwyczajeniach użyteczny, winien wykazywać jak najlepszy węch, być pierwszorzędnym w pracy polnej ze wszystkiemi jej „fachami", musi bobrować za kaczkami (ale dopiero wówczas, gdy poprzednio nabędzie bezwzględnie pewnej stójki i dociągania), musi aportować i naturalnie posiadać bzwzględny apel. Dopiero w drugiej linji możnaby sobie życzyć, aby pies osadzał drapieżnika; dławienie wykluczyłbym bezwzględnie, jako sprzeciwiające się najprymitywniejszym pojęciom humanitarnym, a przytem jest ono niepotrzebne, bo osadzonego drapieżnika można w inny sposób, i to bez narażania psa, wyprawić na tamten świat. Również i pracy za farbą nie podnosiłbym do tak wysokiego poziomu, bo najczęściej jest ona pod kątem widzenia praktyczności, a co za tem idzie, niezawodności, bluffem konkursowym. Przy pracy leśnej nie kładłbym tak wielkiej wagi na zachowanie się psa na stanowisku podczas leśnego pędzenia, bo u nas nie jest w zwyczaju zabieranie psa na stanowisko — i słusznie, bo tam pies więcej innych myśliwych denerwuje, niż nam samym przynosi pożytku. Zawodowy leśnik, który tego potrzebuje, może sobie psa w tym kierunku specjalnie tresować.

Reasumując więc to wszystko, co napisałem, proponowałbym zmianę sposobu oceny psów na konkursach, jeśli konkursy te mają nieść korzyść hodowli i myśliwemu, a mianowicie:

1. przedewszystkiem ogólna i to wysoka co do wymagań ocena węchu psa, dokonywana na podstawie całokształtu jego pracy;
2. taksamo postawiona ocena apelu;
3. następnie osobna ocena całej pracy polnej.

W tych trzech działach pies, który nie uzyska conajmniej „dość dobrze", powinien być z konkursu wyeliminowany.

4. bobrowanie za kaczkami powinno być bezwzględnie wymagane od psów, będących w trzeciem polu, co do młodszych zaś — pozostawione woli menera;
5. praca leśna — bez specjalnego uwzględniania zachowania się psa na stanowisku w czasie pędzenia;
6. praca za farbą, jako uboczny „fach", tylko w razie zgłoszenia;
7. osadzanie drapieżnika.

Do uzyskania nagrody powinno się tylko wymagać wybitnej pracy w działach 1—2, dobrej pracy w dziale 4, i to tylko pod warunkiem tam zawartym, taksamo w dziale 5, zaś wyniki działów 6 i 7 powinny być brane w rachubę tylko jako zalety psa, bez wpływu na jego klasyfikację.

W każdym razie trzeba wymagać, aby konkursy odbywały się w warunkach zbliżonych do prawdziwych polowań, bo dzisiejsze konkursy, jak są obecnie urządzane, bardzo małą mają wartość dla selekcji psa myśliwskiego. Z doświadczenia mogę stwierdzić, że uzyskanie wyników na konkursie nie daje absolutnie pewności, że pies w praktyce nie zawiedzie. Tak, jak u nas, a nawet w klasycznym kraju wyżła dowodnego, t. j. w Niemczech, urządza się konkursy, prowadzi to tylko do hodowli i tresowania psa par excellence konkursowego, ale nie użytkowego.

Kończę zatem apelem: hodujmy, tresujmy i czyńmy co należy, aby mieć psa prawdziwie użytkowego, ale nie uganiajmy się za jakąś fantasmagorją psa i to tylko dlatego, że sąsiad za ścianą coś takiego wymyślił i to suo *bono* propaguje.

S. M.

WYSTAWA PSÓW KRUFTA W LONDYNIE

Dnia 10 i 11 lutego r. b. odbyła się w Londynie 51-sza kolejna wystawa psów, rokrocznie urządzana przez Krufta na terenie królewskiego gospodarczego pawilonu.

Zasadniczy charakter wystawy w ciągu ostatnich dziesięciu lat właściwie nie zmienił się — kolosalna organizacja, wzorowy porządek i wysoka klasa psów. Na ten temat pisałem już w roku ubiegłym w wydawnictwie „Pies i jego hodowla w Polsce" i dlatego nie będę tej kwestji powtarzał.

Ogólna liczba wystawionych psów w roku bieżącym wynosiła 4352, przy 9949 zapisach do poszczególnych klas. W jubileuszowym roku ubiegłym ilość wystawionych psów była rekordowa: 4594, przy 10650 zapisach do rozlicznych klas.

Ze względu na ilość zapisów do różnych klas, jak również i na ilość psów pierwsze miejsce zajęły spaniele ogólną liczbą 465 sztuk, w tem cocker-spanieli — 301, angielskich springerów — 72, welsch. springerów — 13, irlandzkich spanieli wodnych (Irisch Water Spaniel) — 17, Sussex spanieli — 18, field-spanieli — 11 i clumber-spanieli — 33 sztuki.

Gdy obserwowałem trud Mac Donalda przy sędziowaniu 301 psów tej samej rasy, wcale mu nie zazdrościłem. Przy tak wysokim poziomie cocker-spanieli na tej wystawie trzeba było nadzwyczajnej koncentracji myśli, aby okazać się na wysokości swego zadania. Ogólny poziom cockerów był rzeczywiście bardzo wysoki, a typ i ogólne wymiary psów bardzo zachowane. W większości innych krajów wzrost psów (wysokość w łopatce) pozostawia bardzo dużo do życzenia. Można stwierdzić, że rasa ta stale dąży w górę. Przeważająca bowiem ilość teraźniejszych cockerów posiada szerokie przody i długie grzbiety.

Mały swój teraźniejszy wzrost, jak wiadomo, zawdzięczają cockery ich prarodzicielowi „Champion Obo'wi", który wyróżniał się właściwością przekazywania potomstwu mniejszego wzrostu od swego. Podobnie jak rodowód każdego pointera wywodzi się od „Champion Bang'a", tak w pochodzeniu każdego cockera znajdujemy championa „Obo".

Angielskie springer-spaniele w ciągu ubiegłego roku znacznie poszły naprzód. Ogólny poziom był w roku bieżącym znacznie wyższy od zeszłorocznego. Szczególnie wyrównał się typ. Kilka lat temu mogliśmy odróżnić angielskiego springera od welsch. springera tylko po ich maści. Obecnie zaś wyhodowano dwa zupełnie różne typy i dlatego też w standarcie usunięto ograniczenie ubarwienia. Do ostatniego roku np. maść biała w czarne łaty była typową tylko dla welsch. springerów, nie odpowiadała natomiast rasie springerów angielskich. Obecnie zaś to ograniczenie w standarcie zmieniono. Zwycięzcami zostali pies Int. Champion Nimbie of Hamsey hodowli E. C. Best i suka Champion Roundwood Lass hodowcy i właściciela S. H. Till'a.

Z pośród psów legawych było 33 pointery, przy 93 zapisach do 16 różnych klas. W roku zeszłym wystawiono 57 psów, zgłaszając 170 zapisów do różnych klas. Ogólna jakość psów tej rasy nie zmieniła się w ciągu roku. Wiele było doskonałych egzemplarzy, lecz nie brakowało i bardzo słabych typów. Właściciele i hodowcy psów tej rasy rokrocznie są ci sami. D. Steadman (Meassyd), I. Sharpe (Stylish), G. Grawford (Crombie), C. Clark (Lune), M. Holt (Menaifron), T. Miller (Tievrton), T. Moorby (Ctaiton), F. Swan (Cromford) i kilku innych zapełniają katalog wystawy w dziale pointerów. Championat otrzymała suka biała w czarne łaty „Meassyd Mellow" D. Steadman'a.

Angielskich setterów wystawiono tyle, co i w roku ubiegłym — 53. Jakość ich według oceny angielskiej była wyższa od zeszłorocznej. Będąc myśliwym, potwierdzić tego zdania nie mogę, gdyż wszyscy zwycięzcy tym razem byli przedstawicielami psów niemyśliwskich, posiadający za długie i za ciężkie głowy oraz wadliwe chody.



Nagroda Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego, przyznana na próbach polowych w Komaszycach w dniu 5.V.1937 p. Bolesławowi Poczcie.

Angielskich setterów typu myśliwskiego było w tym roku mniej, niż w ubiegłym i powodzenia u sędziego D. E. Griffth nie miały. Sędziowanie było tem bardziej stronnicze, że sędzia ten jest wielkim myśliwym. Właściciele i hodowcy setterów angielskich, podobnie jak i pointerów, ci sami. W Anglji mało kto zajmuje się hodowlą jednej którejkolwiek rasy. Jeżeli kto prowadzi hodowlę pointerów, to oprócz tego trzyma jednocześnie settery, spaniele, lub retriwery. Tłomaczy się to tem, że mieszczanie hodowlą psów nie zajmują się. Czynność ta spoczywa wyłącznie bodaj w ręku właścicieli ziemskich, rozporządzających dużem pomieszczeniem i odpowiednimi ludźmi. Hodowla taka opłaca się tylko wtedy, gdy prowadzi się ją na wielką skalę.

Irlandzkich setterów wystawiono 110 sztuk. Toteż nic dziwnego, że między tak wielką ilością uczestników znalazło się wiele wyróżniających się egzemplarzy. Około 10-ciu z pośród nich było wszechstronnie pierwszorzędnych, przedstawiających najwyższy poziom tego, co może osiągnąć hodowca. Niemało jednak było psów bardzo miernej jakości. Inaczej mówiąc, poziom w zestawieniu ogólnem był niewysoki. Zwyciężył pies „Borrowdale Juan" hodowli honorowej sekr. Ang. Pointer i Setter Klubu, M. Ogden oraz suka „Wendower Biddy" I. Braddona.

W porównaniu z innemi krajami Europy oraz z zeszłoroczną wystawą, duży postęp zrobiły setter-gordony. Świadczy o tem liczba 32 psów, z pośród których większość była doskonałego typu, posiadających rzucającą się w oczy barwę, prawidłową jedwabistą i niekędzierzawą sierść, możliwy kościec i prawidłową formę pióra. Dominującą wadą psów na londyńskich wystawach ostatnich lat były właśnie: bezkształtność formy i nieprawidłowo ustawione pióro. Championaty otrzymały: pies „Dalnaglar Pilot" hodowli E. C. Sharpe oraz suka „Champion Clicquot of Daven" hodowli H. Hall'a.

Dni przedwystawowe, jak i wystawowe, a szczególnie wieczory były bardzo ożywione, ponieważ większość biorących udział w wystawie klubów urządzała w te dni swoje doroczne bankiety. Jednym z najbardziej imponujących bankietów, w którym i mnie wypadło uczestniczyć w charakterze gościa, był bankiet Angielskiego Cocker Spaniel Klubu. Uczestniczyło w tym bankiecie 150 osób, pośród których było niemało wielkich znakomitości kynologicznego pió-

ra, przedstawicieli Kennel Klubu, prasy, weterynarji i kilku obcokrajowych gości. Przemowy były krótkie, lecz interesujące, a niektóre bardzo dowcipne. W żaden sposób nie może pozostać bez uwagi wszechstronne dżentelmeństwo i czysty sportowy duch, które odrazu rzucały się w oczy zarówno na wystawie, jak i na zebraniach.

Bardzo szkoda, że psy nie wytrzymują dłuższej wystawy, niż dwa dni. Dla człowieka, pracującego na polu kynologicznem, niemożliwem jest widzieć się w ciągu dwóch dni ze wszystkiemi interesującemi go osobami i przeprowadzić konieczne dyskusje.

Sam Kruft niezadowolony był dlatego, że w roku bieżącym nie udało mu się utrzymać zeszłorocznego rekordu. Na przyszły rok obmyśli on niewątpliwie coś takiego, aby liczba zapisów nie była niższa od 10.000.

Postaramy się dożyć do tego następnego święta psów.

W. MARR.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE

Zgodnie z § 43 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, podaje się do wiadomości, że w dniu *29 sierpnia r. b.* o *godzinie 12* w południe, w sali konferencyjnej Państwowego Banku Rolnego, oddział w Lublinie, przy ulicy Szopena Nr. 6, odbędzie się Walne Zgromadzenie Wojewódzkie z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie,
2. Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów (§ 40 statutu),
3. Sprawozdanie Tymczas. Woj. Rady Łowiec. z dotychczasowej działalności,
5. Wybór Wojew. Rady Łowiec. na 3-lecie 1937—1940 (§ 45 statutu),
6. Wybór Komisji Rewizyjnej na rok 1937 (§ 68 statutu),
7. Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Związku (§ 41 pkt. c stat.),
8. Wnioski, zgłoszone do Rady w trybie § 42 statutu.

Walne Zgromadzenie, zgodnie z § 38 statutu, będzie ważne w wyznaczonym terminie bez względu na liczbę obecnych.

W przeddzień Walnego Zgromadzenia, t. j. 28 *sierpnia r. b. w lokalu Resursy Kupieckiej*, odbędzie się kolejne posiedzenie Rady Wojewódzkiej, na które zechcą przybyć jej członkowie. Posiedzenie wyznacza się na godzinę 19-tą punktualnie. Porządek dzienny zostanie zakomunikowany na zebraniu.

LUBELSKA WOJEWÓDZKA RADA ŁOWIECKA

POWIAT WĘGRÓW, WOJ. LUBELSKIEGO.

Zgodnie z § 50 Statutu P. Z. Ł., zwołuje na dzień 15.VIII b. r. na godz. 15 do lokalu Starostwa Powiatowego w Węgrowie organizacyjne Walne Zgromadzenie Powiatowe P. Z. Ł. z następującym porządkiem obrad:

1) zagajenie,
2) wybór 3-ch członków Powiatowej Rady Łowieckiej,
3) wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie,
4) sprawy organizacyjne,
5) wolne wnioski.

Węgrów, dn. 27.VII 1937 r.

MICHAŁ JAWORSKI.
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT KUTNO, WOJ. WARSZAWSKIEGO.

Dnia 17/8 1937 o godz 2-ej po poł. odbędzie się w Kutnie w lokalu „Sokoła" ul. Kilińskiego 2 zebranie członków Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego.

TADEUSZ ABRAMOWICZ.
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT SIERADZ, WOJ. ŁÓDZKIEGO

W myśl § 50 Statutu Polskiego Związku Łowieckiego i zgodnie z pismem Łódzkiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej z dnia 7 lipca r. b. zwołuję organizacyjne Walne Zgromadzenie Powiatowe Polskiego Związku Łowieckiego dla myśliwych powiatu Sieradzkiego na dzień 24 sierpnia 1937 roku o godzinie rano w sali kina z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie.
2. Wybór sekretarza i 2 asesorów.
3. Referat o nowej organizacji łowiectwa polskiego.
4. Zapisy na członków Polskiego Związku Łowieckiego.
5. Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
6. Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7. Wolne wnioski.

Sieradz, dnia 3 sierpnia 1937 r.

LUDWIK RUDOLF
p. o. Łowczego Powiatowego P. Z. Ł.

POWIAT BĘDZIN I M. SOSNOWIEC WOJ. KIELECKIEGO.

Na Organizacyjnem Walnem Zgromadzeniu członków Polskiego Związku Łowieckiego z powiatu Będzin i m. Sosnowca w dniu 3 czerwca 1937 r. została zorganizowana Powiatowa Rada Łowiecka w nast. składzie:

Łowczy — Inż. Rudowski Leon.

Podłowczowie — Inż. Frycz Feliks, Zieleniewski Jan.

Członkowie — Inż. Karnkowski Władysław, Inż. Krąkowski Mieczysław, Luwiński Aleksander, Barogiewicz Stanisław, Inż. Rudzki Tadeusz — z siedzibą w Sosnowcu przy ulicy Warszawskiej Nr. 6.

J. ZIELENIEWSKI.
Podłowczy P. Z. Ł.





Z pośród licznych niemieckich wydawnictw, opisujących podróże po krajach tropikalnych i egzotyczne polowania, niewiele może dorównać świeżo wydanej przez firmę Paul Parey — Berlin (Hedemannstrasse 28/29) książce Degenharda hr. Wurmbranda p. t. *Herren der Wildnis* (Władcy kniei). Praca ta, ilustrowana 32 tablicami oraz 2-ma mapami, traktuje o wyprawach myśliwskich do zachodniej Ameryki Północnej i do Kanady. Cena książki Rm. 7.50.

Niemiecka literatura myśliwska ostatnich lat posiada różne wydawnictwa o Afryce i Azji, lecz o łowiectwie Ameryki Północnej bardzo mało. Istniejącą w tej dziedzinie lukę całkowicie wypełnia hr. Wurmbrand. Przyrodę kontynentu amerykańskiego czyni on bliską każdemu czytelnikowi, towarzysząc mu w poznawaniu egzotycznej flory i fauny oraz malowniczych i niedostępnych okolic górskich i nizinnych, do których nie dotarł przedtem żaden myśliwy.

Już na wstępie znajdujemy, obok dokładnych opisów świata zwierzęcego tej części Ameryki i stosunków łowieckich, rzeczowe i trafne wskazówki na co należy zwracać uwagę podczas takich ekspedycyj.

Treść książki zawiera opis nie jednej wielkiej wyprawy myśliwskiej, lecz całego szeregu mniejszych, lub większych ekspedycyj i polowań, ze zmianą, w zależności od sezonów, terenów łowieckich.

Rozłożywszy swój obóz opodal rezerwatów i parków łowieckich, w okolicy Wyoming, poluje autor z wyjątkowem szczęściem w ciągu dwóch miesięcy na łosie i jelenie „wapiti", udaje się następnie na sezon polowań na niedźwiedzie przez Aryzonę do Alaski i znowu powraca do poprzednich rezerwatów, skąd po ukończeniu polowań udało mu się wywieźć piękną kolekcję trofeów myśliwskich, stanowiących poroża łosi, potężnych jeleni, kóz i owiec górskich, oraz skór niedźwiedzi i innych drapieżników.

Surowe kary, wymierzane za przekraczanie praw łowieckich, stanowią potężną ochronę zwierzyny łownej Ameryki. Toteż nic dziwnego, że pomimo tak licznych polowań rezerwaty łowne posiadają w przybliżeniu około 120 tysięcy sztuk samych wapiti.

Najbardziej interesującą częścią książki Wurmbranda są opisy różnych północno-amerykańskich niedźwiedzi. W niepospolity sposób przedstawia autor życie tych olbrzymów, budząc uczucia i pragnienia myśliwskie u każdego czytelnika. Zapuszczając się w głąb terytorjum Yukonu, dokonał autor (przypadkowo chyba) odkrycia nieznanych dotychczas okolic, które, jak się później okazało, były siedliskiem niedźwiedzi. Przypadek ten dał początek nietylko doskonałym polowaniom, lecz nastręczył również autorowi wiele okoliczności do bardzo ciekawych i rzadkich obserwacyj. Same obserwacje, jak zresztą i obfite polowania na niedźwiedzie, były dla autora bardzo ułatwione, ponieważ czynił to w czasie, kiedy niedźwiedzie, brodząc za płynącemi w okresie do 20 czerwca do 20 września pod prąd łososiami, trzymają się całemi stadami rzek i strumieni i są mniej ostrożne.

Przeżycia myśliwskie Wurmbranda odtworzone są w każdym ustępie książki z wybornem napięciem i żywotnością, a poczynione obserwacje są nader interesujące. Czytając opisy podpatrzonych scen ze swobodnego życia zwierząt, wzajemnych walk i zabiegów o pokarm, mamy wrażenie nakręconego filmu, oglądanego na ekranie kinowym. Niedźwiedzie między sobą żyją zawsze spokojnie, lecz walczą również bardzo zaciekle, gdy jeden wchodzi w drogę drugiemu. Zdobyczą ich są przeważnie górskie owce i kozice, chętnie jednak polują również na jelenie i łosie.

W opisach polowań, zwierzyny i jej nawyków leży główna treść tej książki, lecz nie zamyka jej całości. Dużo jest w niej pozatem interesujących tematów z życia tubylców i poszukiwaczy złota, opisów miast i ich mieszkańców, oraz niekończących się, milczących kniej. Ogólnie wydawnictwo to stanowi zatem cenne dzieło. Wurmbrand dał światu myśliwskiemu książkę o polowaniu na amerykańską zwierzynę grubą taką, jakiej w tej gałęzi w języku niemieckim dotychczas nie było. W literaturze myśliwskiej Niemiec zajmie ona z pewnością jedno z miejsc pierwszych.

*

Dopiero teraz ukazało się wydane przez firmę Paul Parey (Berlin) zestawione przez d-ra Lutz Heck'a sprawozdanie z działalności fachowego bractwa dla hodowli niemieckich ogarów za lata 1935/36 p. t. *Jahrbuch der Fachschaft Deutsch Bracken 1935/36*. Jak wszystkie inne wydawnictwa Parey'a, sprawozdanie to potraktowane zostało bardzo poważnie i przynosi, obok wiadomości, pochodzących z samego stowarzyszenia, wiele ciekawych artykułów historycznych, rozwoju tej rasy psów od czasów zamierzchłych do chwili obecnej, wskazówki hodowlane, opisy polowań z temi psami i t. p.

Treść broszury podzielono na cztery części, w skład których wchodzi po kilka rozdziałów.

I. Ze stowarzyszenia: wstęp, protokół założenia stowarzyszenia, statut, wykaz członków 1935/36 r.; szczególni znawcy ogarów; sędziowie zwykli i nadzwyczajni dla rasy ogarów; hodowcy ogarów; posiadacze półksiężyców; opisy sfor psów; urządzenia myśliwskie do polowań z ogarami.

II. O niemieckich ogarach i o zwyczajach głośnych polowań: gatunki niemieckich ogarów; rasowe znaki ogarów; księga rodowodów; sygnały myśliwskie do polowań z ogarami; nasz półksiężyc (symbol); noże użytkowe myśliwego polującego z ogarami; niemieckie ogary na wystawach; sprawozdania z polowań z ogarami (z czasopism myśliwskich).

III. O polowaniach z ogarami dawniej i w dobie obecnej. Dr. Lutz Heck; znane polowania z ogarami na żubry; kilka familijnych dokumentów Karola Allewelde, dotyczących ogarów; E. Meyer: historyczne rozważania nad hodowlą ogarów na królewskich i książęcych dworach w Osnabrück; Kleinsorgen: Niemiecki ogar; R. Fries: Niemieckie ogary; Dr. L. Heck: Niemieckie ogary jako tropiciele dzików; Dr. Fr. Schwagmeyer: Polowania z ogarami; Dr. L. Heck: Z niemieckimi ogarami na zające w Finlandji; G. Moesges: Skłonność do szelmostwa.

IV. Ustawowe postanowienia o polowaniach z ogarami.

Bezwątpienia niema drugiej tak mało znanej rasy psów myśliwskich, jak ogary, pomimo, iż ten gatunek psów należy do najstarszych ras, jakie dotychczas przetrwały. Twierdzenie o dawnem pochodzeniu tych psów sprawdza się choć nie w licznem, lecz w szerokiem ich rozpowszechnieniu. Ogary bowiem wszystkich krajów: niemieckie, rosyjskie, bośniackie, austrjackie, szwedzkie i inne wywodzą się, pomimo różnej już obecnie anatomicznej budowy ich ciała, z jednej rodziny.

W celu podniesienia hodowli tych psów, służących do polowań o prastarych zwyczajach, zawiązało się w Niemczech jeszcze w roku 1896 stowarzysznie pod nazwą „Klub Ogara Niemieckiego". Stowarzyszenie to postawiło sobie za zadanie utrzymać przejęte od przodków prastare polowania z sygnałami, podawanemi na „westfalskich półksiężycach", a przedewszystkiem uchronić tę rasę psów przed zagładą. Dziś można już powiedzieć, iż zadania te zostały wypełnione, chociaż poprzednia ustawa łowiecka Rzeszy nie dawała tym psom żadnej ochrony. Stowarzyszenie to na walnem zebraniu członków w dniu 11 listopada 1934 r. przekształciło się w „Fachowe Bractwo dla Hodowli Niemieckich Ogarów", które pod protektoratem wielkiego łowczego Rzeszy, Hermana Göringa, jako pierwszego członka stowarzyszenia, rozszerzyło swe zadania w kierunku zjednoczenia wszystkich hodowców i posiadaczy prastarych niemieckich ogarów, jak również wszystkich myśliwych, polujących z temi psami, oraz sympatyków głośnych polowań, połączonych z prastaremi zwyczajami myśliwskiemi.

Polowania z ogarami więcej niż wszystkie inne muszą odbywać się według zgóry ustalonych zasad, aby wskutek głośnego szczwania psów nie płoszyć niepotrzebnie zwierzyny w ostojach. Omawiane wydawnictwo stara się zasady te udostępnić

każdemu czytelnikowi. W sposób jasny i wyczerpujący zobrazowane zostało w tej książce wszystko, co dotyczy tej rasy psów myśliwskich oraz rozlicznych polowań z ogarami. Komu głośne ujadanie psów w czasie polowania cenniejsze są, niż masowe rozkłady zwierza, dla kogo prastary sygnał trąbki myśliwskiej na miedzianym półksiężycu jest synonimem najpiękniejszej muzyki, kto ma miłość i zachwyt dla prastarych zwyczajów myśliwskich naszych ojców — ten lekturą tej książki się nie znuży, lecz przeciwnie, uzyska głębokie wewnętrzne zadowolenie.

STEFAN M. MACKIEWICZ

POKŁOSIE ZJAZDU LEKARZY I PRZYRODNIKÓW WE LWOWIE

Wśród istnej powodzi referatów i komunikatów, zgłoszonych na odbyty z początkiem lipca we Lwowie ogólnopolski Zjazd lekarzy i przyrodników, znalazły się, jak to było do przewidzenia i takie, które mogą zainteresować świat łowiecki. Poświęcę im słów parę. W Sekcji, której miałem zaszczyt być gospodarzem, to jest w Sekcji historji nauk lekarskich i przyrodniczych, wielkie zainteresowanie nietylko przyrodników ale i myśliwych, obecnych na sali, wzbudził referat naszego znakomitego przedstawiciela ochrony przyrody, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. W. Szafera. W sposób nadzwyczaj przejrzysty wykazał on przy pomocy odpowiednich wykresów, jak społeczeństwo i prasa reaguje na najrozmaitsze zagadnienia, związane z ochroną przyrody, a także, jak odbija się nasze zagadnienie z tej dziedziny w prasie zagranicznej. W dyskusji poruszono sprawę aklimatyzacji, która zasadniczo nie ma zastosowania w ramach ochrony przyrody, chyba że chodzi o ponowne wprowadzenie jakiegoś gatunku (zwierzęcia) tam, gdzie dawniej był on reprezentowany, a więc n. p. niedźwiedzia do Białowieży. Poruszono też niezmiernie ciekawy problemat stosunku ochrony przyrody do zabezpieczenia kraju przed następstwami katastrof żywiołowych (powódź).

Innym, niezmiernie interesującym w tej Sekcji był referat rektora prof. Hryniewieckiego z Warszawy o Antonim Schneebergerze, lekarzu i przyrodniku naszym z XVI wieku, uczniu słynnego Konrada Gesnera z Zurychu. Wśród dzieł jego znajduje się n. p. słownik botaniczny, z wyrazami polskiemi odtworzonemi fonetycznie, tak, jak je lud w owych czasach wymawiał, co stanowi jedyne w swoim rodzaju źródło. Tenże Schneeberger napisał pierwsze na świecie dzieło o medycynie wojskowej, w którem m. in. wspomina (po raz pierwszy w literaturze) o pieczeni z żubra.

Prof. Hryniewiecki przedstawił zkolei referat dra Januarego Kołodziejczyka z Warszawy o źródłach, na jakich oparł się słynny Falimierz, pisząc swój „Zielnik" z r. 1534. Wiadomo, że ten „Zielnik" prócz flory obejmuje także faunę, naukę o chorobach i wiele innych rozdziałów, będąc rodzajem podręcznej encyklopedji domowej, podobnie jak inne ówczesne wydawnictwa tego rodzaju.

Nawiązując do tej sprawy, omówił piszący te słowa pierwszy wogóle polski słownik botaniczny, umieszczony w łacińskim traktacie Szymona z Łowicza z r. 1532. Jedyny w Polsce egzemplarz tego dziełka znajduje się we Lwowie, w Bibljotece Baworowskich.

Dyrektor Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, dr. J. Kinel, przedstawił dzieje tej instytucji, oświetlając je w sposób ciekawy na podstawie niepublikowanych dotąd i nieznanych szerszemu ogółowi dokumentów i listów. Szczególnie plastycznie wystąpiła na tem tle postać ś. p. Włodzimierza Dzieduszyckiego, który prace swe około założenia muzeum rozpoczął, mając zaledwie 20 lat życia.

Dzieje szkoły weterynaryjnej w Burakowie pod Warszawą omówił dr. Aleksander Perenc, autor wydanej w zeszłym roku „Historji lecznictwa zwierząt w Polsce". Nawiasowo wspomnę, że podstawowe to dzieło stanowi i dla myśliwego przebogate źródło najrozmaitszych wiadomości i że powinno się stać niezbędnem dla wszystkich, którzy pragną łowiectwo nasze „podciągnąć wyżej" i traktować je wszechstronnie i nie po dyletancku.

Nie sposób nie wspomnieć tu o pięknym referacie rektora Krzemieniewskiego ze Lwowa. Mówił on o kolejach Michała Boyma, członka znanej i zasłużonej w XVII wieku lwowskiej rodziny patrycjuszowskiej, jezuity i przyrodnika, który, przebywając w Chinach w celach misyjno-katolickich, badał przyrodę tego kraju i napisał słynną po dziś dzień botanikę chińską (Flora sinensis), nadto zaś sporządził serję map geograficznych, w które bardzo kunsztownie wmalowywał charakterystyczne dla danej okolicy rośliny, a nawet i zwierzęta. W Polsce posiadamy dwa egzemplarze „Flory" Boyma. Jeden w Bibljotece Jagiellońskiej, drugi we Lwowie, w Bibljotece Uniwersyteckiej. Egzemplarz lwowski jest tem rzadszy, że jest ręcznie kolorowany. Co do map, podziwialiśmy jedynie ich fotograficzne reprodukcje. Oryginały bowiem leżą w Bibljotece Watykańskiej. Ale i fotografje starczą do wyrobienia sobie sądu o ogromie wiedzy i pracowitości naszego sławnego ziomka.

Inną pracę biograficzną przedstawił p. Godyń ze Lwowa. Przedmiotem jej jest Jakób Teodor Klein, gdańszczanin, przyrodnik z XVIII wieku, uwzględniający w jednem ze swych dzieł ornitologicznych bardzo dokładnie ówczesne nazwy polskie.

Z działu terminologicznego, objętego również programem sekcji historycznej, na uwagę zasługuje na tem miejscu referat prof. Schechtla z Poznania, pod tyt.: Staw a jezioro. Autor proponuje rozgraniczyć te dwa pojęcia, często błędnie stosowane, w ten sposób, żeby stawem nazywać tylko zbiornik spuszczalny, jeziorem zaś niespuszczalny.

Inna Sekcja zjazdowa, a mianowicie Sekcja zoologiczna, przyniosła kilka referatów, mających obok naukowego, par excellence znaczenie dla łowiectwa. Należą tu przedwszystkim trzy referaty prof. Schechtla z Poznania. Jeden z nich poświęcony jest łosiowi. Autor rozpatruje zagadnienie dwojakiej formy w ukształtowaniu „łopaty", a więc t. zw. „łopataczy" i „badylarzy" i przychodzi do wniosku, że rogi „badylarza" (jeleniarza) stanowią stopień, który nie doszedł jeszcze do formy „łopatacza", albo są już wyrazem uwstecznienia, które się objawia stopniowym zanikiem łopaty.

W drugim referacie, o pardwie polskiej, podaje autor szczegóły, dotyczące wymiarów i pożywienia. Pokarm stanowią głównie liście i to najczęściej modrzewnicy (Andromeda polyfolia), w drugim rzędzie jagody (bażyny i żórawiny).

W trzecim referacie, poświęconym norce, wykazuje autor, że na podstawie jego własnych badań najliczniej występuje ona w województwie nowogródzkiem i poleskiem, gdzie w niektórych powiatach ubijają rocznie około 30 sztuk.

Przytoczę wkońcu zajmujące uwagi p Zygmunta Godynia o „występowaniu niektórych rzadkich ptaków w płdn.-wsch Polsce". W ostatnich kilkunastu latach pojawiły się tu mianowicie zabłąkane w czasie przelotu niektóre rzadkości ornitologiczne. Należy do nich: Orzeł cesarski (3 okazy w wojew. lwowskiem, 1 okaz w woj. tarnopolskiem). Myszołów wschodni (w różnych okolicach Małopolski wsch.). Szczudłak czarnoskrzydły (pow. sanocki). Czapla nadobna i czapla modronosa (w większych ilościach w r. 1934). Czapla warzęcha (jedna sztuka pod Lwowem w r. 1928). Czerwonak (1 szt. w pow. lubaczowskim, 1 szt. w pow. tarnobrzeskim). Gęś rdzawoszyjna (kilka sztuk ubito w ostatnich latach w wojew. tarnopolskiem i lwowskiem). Gęś białoczelna (kilka sztuk ubito w woj. stanisławowskiem i tarnopolskiem). Gęś krótkodzióba (1 sztukę spotkano w r. 1936 pod Lwowem). Z rzadkich kaczek pojawiła się kaczka ohar, ogorzałka, hełmiasta, lodówka, czarna, białogłowa. Ostatnio wreszcie, w roku bieżącym, zaleciał rzadki już bardzo pelikan baba.

WITOŁD ZIEMBICKI.

SPROSTOWANIE

Reprodukcje zamieszczone w Nr. 21 „Łowca Polskiego na str. 409 i 411, przedstawiające grupę menerów z psami oraz grupę sędziów na field-trialsach w Radzyminie, są wykonane z fotografij inż. Tadeusza Śledzińskiego — co zostało opuszczone w podpisach.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

LE SAINT HUBERT

Nr. 6/1937. *Walne zgromadzenie Saint - Hubert Club de France*. Klub św. Huberta, największe zrzeszenie łowieckie we Francji, odbyło w maju doroczne walne zgromadzenie członków. Ze sprawozdania członków Zarządu widać, iż ogólna liczba myśliwych we Francji, którzy wykupili karty łowieckie, stanowiła 1.416.186 osób wobec 1.677.403 osób w 1931 r. Znaczna większość — to myśliwi, którzy wykupili karty łowieckie tylko na obszar jednego departamentu. Takich kart wydano w 1936 r. 1.386.646, wówczas gdy kart, zezwalających na łowy w całem państwie, wydano tylko 29.540. Opłatę za kartę łowiecką departamentalną, stanowiącą dotąd 74 franki, obniżono w 1936 r. na 50 fr., natomiast cena karty łowieckiej ogólnej wynosi 200 fr. — Jeżeli chodzi o stan zwierzyny, to dżdżysta i zimna wiosna r. ub. sprawiła, iż ilość zajęcy spadła znacznie, natomiast kuropatwa szara i bażant wykazały stan zadowalający, czego nie można powiedzieć o kuropatwie czerwonej i o przepiórkach, ilostan których zmniejszył się wybitnie. Małemi były również wiosenne przeloty słonek, natomiast w drodze powrotnej zauważono ich przybytek. Inna zwierzyna nie wykazała większych różnic ilościowych — Pod względem terminów polowania Francja podzielona jest na 5 stref, w których rozpoczęcie i zamknięcie polowań jest rozmaite. Uznając taki podział za słuszny, Klub św. Huberta wypowiada się przeciwko odstępstwom od tych ogólnie obowiązujących terminów, zarządzanych w granicach poszczególnych departamentów na skutek zabiegów pewnych grup myśliwych. Podobnie Klub protestuje przeciwko wykorzystywaniu przestarzałego przepisu z 1884 r., uprawniającego merów do udzielania zezwoleń dzierżawcom polowań na przesiębranie wzmożonych środków walki ze „zwierzętami szkodliwemi", gdyż uważa, że daje to pole do nadużyć i może być nieraz w sprzeczności z ogólną ustawą łowiecką. — Kłusownictwo we Francji, ośmielone słabością orzecznictwa sądowego, przybiera na swej szkodliwości. Zwłaszcza kłusownictwo, praktykowane w nocy z użyciem latarni, wzmogło się szczególnie w okolicach podparyskich. Aby je zwalczać, Klub św. Huberta wyznaczył nagrody 50-frankowe dla żandarmów, którzy przyczynią się do wykrycia winnego polowania z latarnią i spowodują jego ukaranie. — W zakresie ustawodawczym francuski świat łowiecki został zaniepokojony wniesieniem do ciał ustawodawczych projektu noweli do prawa z dn. 10 marca 1930 r., mocą której przepisy o odszkodowaniu za straty w zasiewach, spowodowanych przez króliki, miałyby być rozciągnięte na szkody, czynione przez wszelką inną zwierzynę. W Izbie Deputowanych projekt ten nie znalazł poparcia większości, natomiast Komisja rolnicza Senatu wypowiedziała się za jego przyjęciem. Klub żywi jednak nadzieję, że na plenum uda się sprawę obalić, jako zawierającą zbyt wielkie niebezpieczeństwo dla łowiectwa racjonalnie prowadzonego. — Postępowanie sądowe w stosunku do przestępstw łowieckich wogóle, we Francji niezadowalające, doznało ostatnio dalszego pogorszenia w obliczu przygotowywanej amnestji. Weszło bowiem w zwyczaj dyskontowanie zgóry pewnych projektów ustawodawczych i cały szereg przestępstw przeciwko łowiectwu zostaje już obecnie wycofywany z postępowania, co oczywiście ośmiela tembardziej kłusowników zawodowych. — W związku z walką z kłusownictwem znajdowała się akcja porad, udzielanych przez osobne biuro, czynne przy klubie. W roku sprawozdawczym udzielono takich porad około 4000, wszczęto 350 postępowań sądowych, z których 166 zakończone zostały skazaniem winnych łącznie na 8 lat 2 miesiące i 17 dni aresztu, 12 konfiskat broni, 8 konfiskat narzędzi, 1 konfiskata samochodu, 224.126 franków grzywny i 12.473 franków kosztów sądowych. — Wobec obawy niedoboru finansowego, Klub uchwalił podnieść o 10 fr. składkę członkowską, która od stycznia 1938 r. ma wynosić — 30 fr. od członka zwyczajnego i 40 fr. od członka - założyciela rocznie. Zamiana składek rocznych na jednorazową, dożywotnią, będzie dokonywana z obrachunku 150 fr. od członka zwyczajnego, i 600 fr. od członka-założyciela.

J. G.

Z WOJSKOWEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Dnia 6 lipca 1937 r. odbyło się Walne Zgromadzenie członków Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego, na którem wybrano władze Towarzystwa na rok 1937/38 w następującym składzie:

ZARZĄD

Prezes — Gen. bryg. Głuchowski Janusz,
Wiceprezes — Płk. dypl. Strzelecki Leon,
Łowczy — Mjr. inż. Proszkowski Dymitr,
Podłowczy — Płk. Górski Jan,
Podłowczy — Mjr. dypl. Rozwadowski Władysław,
Podłowczy — Mjr. Sanocki Stanisław,
Podłowczy — Mjr. Więckowski Edward.
Sekretarz — Kpt. Czajkowski-Wanat Mieczysław,
Skarbnik — Por. Salecki Edward.

KOMISJA REWIZYJNA

Płk. dr. Kamiński Tadeusz, Płk. dypl. Rakowski Bronisław, Płk. Turkowski Marjan, z-ca mec. Niewęgłowski Kazimierz.

SĄD ŁOWIECKI

Płk. Buckiewicz Antoni, Płk. dr. Szarecki Bolesław, Płk. Dembiński Stefan, z-ca Mjr. Sztukowski Stefan.

CZAJKOWSKI-WANAT
Sekretarz.

UWAGA NA OBRĄCZKOWANIE KUROPATWY!

Dr. Ernst Schuz, dyr. znanej Stacji Ornitologicznej w Rossitten w Prusiech Wschodnich, za pośrednictwem Prof. Dra K. Wodzickiego (Warszawa) prosi nas o podanie do wiadomości myśliwych następującej notatki:

„W dorzeczu Niemna w latach 1935 i 1936, późną jesienią zostały zaobrączkowane liczne kuropatwy przez latarnika, p. Posingis. Kuropatwy, te były niewątpliwie ptakami przelotnemi. Obrączki użyte do tego celu pochodzą częściowo ze Stacji Ornitologicznej w Rossitten (Prusy Wschodnie), częściowo z Zakładu Zoologicznego Uniwersytetu w Kownie (Kaunas).

Byłoby rzeczą ze wszech miar ciekawą dla łowiectwa, gdyby udało się potwierdzić, że niektóre przynajmniej kuropatwy są ptakami przelotnemi.

Stacja Ornitologiczna uprasza niniejszem o przesyłanie obrączek za pośrednictwem Stacji Badania Wędrówek Ptaków przy Państw. Muzeum Zoologicznem, Warszawa 1, Wilcza 64.

SARNA ZABITA PRZEZ KROWĘ.

W pow. brzeskim, w lasach maj. Szczytniki, gm. Motykały, na początku czerwca r. b. wydarzył się dziwny wypadek. Jeden z urzędników Dyrekcji Nacz. L. P., przebywając w czasie urlopu w wymienionej miejscowości, był nieomal naocznym świadkiem zabicia sarny przez krowę.

Koło niewielkiego stawu, otoczonego olszyną z podrostem i podszyciem, pasące się krowy, według relacji pastucha, otoczyły znienacka sarnę i jedna z nich pogoniła za osaczoną. Kiedy koza odwróciła się tyłem, krowa wbiła w nią róg tak głęboko, że całkowicie rozpruła jamę brzuszną ofiary. Wskutek tego nastąpiło poronienie, a raczej wypadnięcie trzech koźląt, z których jedno znajdowało się jeszcze w błonach płodowych. Z wyglądu i stopnia rozwoju koźląt można było sądzić, iż pomiot miał nastąpić już w krótkim czasie. Dwoje koźląt w chwili nadejścia gajowego i urzędnika, któremu tę wiadomość zawdzięczam, jeszcze okazywało słabe oznaki życia, koza zaś dopełzła do wody i padła po kilku chwilach.

Wypadek ten można uważać za jeden z jaskrawych dowodów szkodliwości pasania bydła w lesie, będącym ostoją zwierzyny łownej, ponieważ, jak widzimy, bydło nietylko pozbawia zwierzynę naturalnej karmy, niszczy siedlisko leśne i zakłóca spokój w rewirze, lecz bywa także szkodnikiem bezpośrednim.

Takie zdarzenia, jak opisane wyżej, mogą się trafiać wszędzie i powodować niekiedy dość poważne straty. Wypadek podany w niniejszej notatce miał właśnie miejsce w majątku, gdzie zwierzostan składał się z 1 rogacza i 3 kóz, z których jedna — przyszła matka 3 koźląt — padła ofiarą wojowniczego usposobienia krowy.

W. L.

VI-te ZAWODY STRZELECKO - MYŚLIWSKIE W LUBLINIE.

W dniu 6 czerwca r. b., na wojskowej strzelnicy garnizonowej, na Czechówce, odbyły się VI zawody strzelecko-myśliwskie, urządzone przez Lubelskie Towarzystwo Myśliwskie, ze współudziałem: Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Oficerskiego Koła Myśliwskiego garnizonu lubelskiego, Koła Myśliwych 8 p. p. Leg., Lubelskiego Towarzystwa Łowieckiego św. Huberta, i Koła Łowieckiego Skarbowców w Lublinie.

Zawody zaszczycił swoją obecnością pan Wojewoda Lubelski. Poza tem byli obecni reprezentanci wymienionych organizacyj myśliwskich i Zarządu miasta. Zawody zgromadziły zawodników z Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, Puław, Radzynia Podlaskiego i miejscowych. Publiczność, dzięki pięknej pogodzie, dopisała.

A. Strzelanie kulowe do rogacza stojącego — odległość 100 mtr., 5 strzałów.

Nagrody Lubelskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Wyniki:

1. Mączyński Ludwik, Lublin, Lub. T-wo Myśliw. 20/60—żeton złoty.
2. Sulczyński Stanisław, Celejów, Lub. T-wo św. Huberta 14/60 — żeton srebrny
3. Jaświński Konstanty, Borki, Radzyń. T-wo Łow. 8/60 — żeton srebrny oks.

Zawodników 15.

B. Strzelanie śrutowe do rzutków.

Wyniki:

I pula — odległość 15 mtr. 25 rzutków (10 i 15).

1. Obutelewicz Tadeusz, Pionki, 23/25,
2. Pakowski Teodor, Pionki, 18/25,
3. por. Tobola Kazimierz, Pionki, 17/25, w rozgrywce,
4. Respond Wacław, Lublin, Lub. T-wo Myśliw. 17/25,
5. Bojanowski Andrzej, Pionki, 16/25, w rozgrywce,
6. Jaświński Konstanty, Borki, Radzyń, T-wo Łow. 16/25.

Zawodników 20.

Nagrody:

1. Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej — kordelas.
2. Oficerskiego Koła Myśliw. garniz Lublin, — laska myśliwska.
3. Koła Łowieckiego Skarbowców w Lublinie — statuetka „Żubr".
4. Lubel. T-wa Myśliw. — żeton złoty i 100 ładunków.
5. Lubel. T-wa Myśliw. — żeton srebrny i 75 ładunków.
6. Lubel. T-wa Myśliw. — żeton srebrny oksyd. i 50 ładunk.

II pula — odległość 15 mtr. 20 rzutków (10 i 10).

Wyniki:

1. poza konkursem por. Tobola Kazimierz 19/20 w rozgrywce
1. w konkursie Respond Wacław, Lub. T-wo Myśl. 17/20,
2. poza konkursem Pakowski Teodor 19/20,
3. w konkursie Wolf Karol, Lub. T-wo Myśl. 16/20, w rozgrywce,
3. poza konkursem Obutelewicz Tadeusz, Pionki, 17/20,
3. w konkursie Błaszkiewicz, Pionki, 16/20,
4. Jaświński Zygmunt, Borki, Radzyń. T-wo Łow. 15/20,
5. Mączyński Ludwik, Lub. T-wo Myśl. 14/20, w rozgrywce,
6. Krychowski Mieczysław, Lublin, 14/20, w rozgrywce.
7. Bojanowski Andrzej, Pionki, 14/20 w rozgrywce.

Zawodników 20.

Nagrody:

1. Lubel. T-wa Myśliw. — statuetka „Łoś",
2. „ „ — torba myśliwska,
3. „ „ — żeton złoty i 100 ładunków,
4. „ „ — żeton srebrny i 75 ładunków,
5. „ „ — żeton srebrny oksydow. i [illegible] ładunków,
6. p. Wacława Responda — krykucha i 75 ładunków,
7. Lubel. T-wa Myśliw. — 50 ładunków.

Ładunki dla zdobywców 4 — 6 nagrody w I puli i 3 do 7 w II puli, w ilości 600 sztuk, zaofiarowane zostały przez Państwową Wytwórnię Prochu w Pionkach. Sprężyste kierownictwo zawodów spoczywało w rękach p. Ludwika Mączyńskiego, Łowczego Towarzystwa.

Sędziowali pp.: Bertram Henryk, kpt. Ćwiertnia Józef, Dr Góra Edward, Kociubiński Wacław i kpt. Wójcik Józef.

POTOCZNA TERMINOLOGIA ŁOWIECKA

PRZEPIÓRKA (COTURNIX COTURNIX).

Bicie, wydawanie głosu przez przepiórkę — samca w czasie wabienia.

Bić, wydawać głos; patrz — bicie.

Bukiet, pęk przepiórek, wiszących na trokach przy torbie myśliwskiej.

Cieki (**zgrzebła**), nogi.

Cieknąć, uciekać szybko piechotą. Mówimy: przepiórka „cieknie" bruzdą.

Dosiadywać, (**dotrzymywać**). Przepiórka „dosiaduje" (dotrzymuje), gdy przykucnięta do ziemi siedzi nieruchomo, a zrywa się dopiero wtedy do lotu, gdy pies podejdzie ją całkiem blisko; stąd mówimy, że przepiórka „dosiaduje (dotrzymuje) twardo". Dla tych przymiotów przepiórki, łatwo jest na niej zaprawiać psa do polowania na ptactwo.

Dotrzymywać, patrz — dosiadywać.

Farba, krew.

Kąpać się (**parzyć się**), tarzać się lub siedzieć latem w ciepłym piasku lub w pyle ziemi.

Kogut, samiec.

Kura, samica.

Lęg, potomstwo.

Lęgnąć, patrz — wylęgać.

Młódka, patrz — orzech.

Obłana, tłusta.

Orzech (**młódka**), młoda przepiórka, będąca jeszcze w puchu lub okryta dopiero pałkami, tak nazywana ze względu na jej podobieństwo do włoskiego orzecha.

Paprza, patrz — paprzysko.

Paprzyć się, patrz — kąpać się.

Paprzysko (**paprza**), miejsce w suchej, zwykłej lub piaszczystej ziemi, rozgrzanej w lecie, w której przepiórki, wyżłobiwszy dołki, „kąpią się", bijąc skrzydełkami, pozbywając się w ten sposób pasożytów.

Parzyć się, zaspokajać popęd płciowy.

Patrochy, wnętrzności oprócz serca, płuc i wątroby.

Patroszyć, usuwać wnętrzności.

Rzucać, wydawać specjalny zapach; tak zwany wiatr; stąd mówimy: „przepiórka rzuca silny wiatr".

Stadko, kilka lub kilkanaście przepiórek razem. Gdy te ptaki ciągną z północy na południe lub z południa na północ, zbierają się wtedy w liczniejszym gronie, tworząc często duże „stada".

Stado, patrz — stadko.

Starka, dorosła, stara przepiórka.

Szata, upierzenie.

Wiatr, specjalny zapach, który wydaje przepiórka.

Wylęgać (**lęgnąć**), wyprowadzać młode na świat.

Zapadać. Przepiórka „zapada", gdy zniża swój lot i siada na ziemię.

Zgrzebła, patrz — cieki.

Żerowisko, miejsce, w którym przepiórka szuka pokarmu. **Żerować,** szukać żeru. **Żer,** pokarm.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

TREŚĆ NUMERU

OGŁOSZENIA DROBNE

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, K. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2.50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. **TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98.** **KONTO P. K. O. 8082.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa